



ZESZYT DZIEWIĄTY.

ROZNIK V. — 1872

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CIAĞ DALSZY)

Ak całe panowanie Stanisława Augusta, tak i jego początki należą do chwil historycznych, najżywszymi barwy życia na kartach dziejów się malujących. Po zgonie Augusta III., między którym a Polską mniej jeszcze było może związku, niż z jego poprzednikiem, młody król, Polak, człowiek, któremu osobistych przymiotów odmówić było niepodobna, piękny, utalentowany, ulubieniec kobiet, sławiony z miłości, nauk i rozumu, w całym narodzie obudzał nadzieje nowej jakiejś ery szczęśliwszej. Miał on nieprzyjaciół, lecz miał najgorętszych zwolenników. Polska i Warszawa, nieco zaniedbane za Augusta III., opuszczone i obumarłe, poczynają krzepko dźwigać się do nowego życia.

Sama stolica, którą Poniatowski zastał wielce zaniedbaną, z początkiem panowania jego budować się, przeistaczać, upiękniać zaczęła. Dwór króla i otaczające go intrygi ścierały nieustannie coraz nowych przybyszów. Polityczny rozdział kraju, i rozłamanie go na stronnictwa nawet, przyczyniało się do ożywienia Warszawy. Zakładano instytucje nowe, tworzyło się mnóstwo projektów, młodzież napływała zewsząd w nadziei umieszczenia się w zakładach wojskowych, na dworze lub przy możnych panach, których olbrzymie fortuny dozwalały im grać rolę dobroczyńców z łatwością. Obyczajem też było naówczas, równie dla

przepychu jak dla podtrzymania popularności między szlachtą, otaczać się synami ziemian, którzy całą niemal służbę przy panach pełnili i na pańskiej kłamce nadzieje przyszłe budowali. Z małymi wyjątkami wszystka młodzież przechodzić musiała nowicyat ten przy dworach, przez który się w ówczesny świat wchodziło. U Ostrogskich marszałkiem dworu bywał nieraz ubogi książę lub drażkowy kasztelan; trafiało się nieraz, iż przyszły dygnitarz koronny, rękodajnym dworzanim poczynął. Nie wstydziła się szlachta służyć u panów braci, a magnat oprócz cudzoziemców, którym plebejuszami być dozwolono, nie trzymał przy sobie nikogo bezkłejnotnego, chyba stróżów do palenia w piecu i pomywania w kuchni...

Dwór też królewski cały, można powiedzieć, z młodzieży szlacheckiej się składał, a najzdolniejszych nazywano paziami, z których przyszli szambelanowie rośli. Miano wzgląd w wyborze na wszelkie przymioty, a nawet i na powierzchowność młodzieńców, którzy szykownie i zręcznie wyglądać musieli i prezentować się tak, by wysłani z biletem N. Pana do pani Krakowskiej lub Zamojskiej, do Tyszkiewiczowej lub jednej z dam, która chwilowo panowała sercu najjaśniejszego, umieli się znaleźć, odpowiedzieć, pokazać przyzwoicie, nie zbyt śmiało ani nadto bojaźliwie. Paziowie króla Stanisława, którzy sławili się

dowcipem, i nieraz z za krzeseł pozywani byli do odpowiedzi w czasie wesołych czwartkowych obiadów, nie wszyscy mogli się wywieść z dwunastu herbów po ojcu i matce, ale musieli mieć za to wiele sprytu i zdolności; nie ostałby się tu pokornego ducha chłopczek, któryby zagadnięty mógł języka w gębie zapomnieć. Szkoła ta dworska nie koniecznie była najlepszą, ale dawała ogładę i zawczasie smutne doświadczenie świata. Każdego dnia kilku z paziów J. Królewskiej Mości było na pokojach na służbie czynnej, inni się też nie oddalali od zamku... chyba za szczególnem pozwoleniem.

Podskarbic, który przybył do Warszawy szczególnie w tym celu, aby trochę zaniedbane stosunki odświeżyć, królowi się przypomnieć i dawnych towarzyszków broni, a dziś pedograw utrapionych inwalidów nawiedzić, zaledwie stanął, ekwipaż miejski najął i na publiczną audyencją do zamku pojechał. Tam mu było najłatwiej dowiedzieć się o znajomych, powziąć języka i termometrowi dworskiemu się zbliżka przypatrzeć. Nie omyliły go nadzieje... na schodach bowiem zaraz schwycił go w ramiona jeden z tych, co z nim najdłużej za granicą hulali. Spojrzeli na siebie po długich niewidzenia latach, zmierzli się oczyma i stanęli smutnie zdziwieni.

— Tyżeś-to kwiecie młodzieży? — zawołał otyły kasztelan, którego peruka zakrywała łysinę, ale rubinowego nosa barwę podnosiła zarazem do zbytku — tyżeś to ulubieńcze niewiast... uwodzicielu... motyłu? gdzie twe skrzydła?

— Mógłbym cię podobnie zaapostrofować — odparł podskarbic, — ale ci się wyplacę wspaniałomyślnie, zaręczając, że gdybyś nie napęcniał, nicbyś się nie odmienił, humor i głos pozostał!

Uścisnęli się czule i syknęli. Kasztelanowi strzykało w nodze; podskarbic, gdyby nie laska, na swoich ustaćby dłużej nie mógł.

— Cóż ty tu porabiasz? — spytał kasztelan.

— Przybyłem dowieść prezencją moją, żem nie umarł.

— Gdzieś ty się zakopał? Przyznaję ci się, żem do prawdy posądził cię o zupełne usatkwowanie...

— A! licha tam! — rzekł podskarbic — wiesz przysłówie o skorupie...

— Nie tylko je wiem, ale go na sobie doświadczam. Idziesz się królowi zaprezentować?

— Tak jest...

— A! uśmiechnie ci się, obsypie grzecznościami... lecz cóż kiedy to... l'eau benite de la cour! Jeśli masz interesa... gdzieindziej pukać potrzeba...

Szli powoli po schodach, a tymczasem mijali ich witając inni przybywający z kolei, którym podskarbic przypominać się musiał. Wiele dłań było twarzy nowych, niektórych widział chłopakami niedorosłymi, innych znał rodziców... wszystko mu smutnie wiek jego przypominało. O większą część figur kasztelana pytać musiał...

— Niestety, braciszku — rzekł w końcu — kiedy ja o innych pytać muszę, nasuwa się wątpliwość, czy i o mnie też wielu nie spyta... Jestem w świecie żywych jak umarły, który z grobu powraca...

Westchnął; wchodzili na próg właśnie; niedaleko od progu stał w wykwintnej barwie królewskiego dworu wystrojony blondynek, postawa nader zręczna, uśmiezek na różowych ustach, oczy wielkie niebieskie, czoło szerokie białe, twarz rysów szlacheckich i szlacheckich. Nawet ciemny rodzinny znak pod uchem nie szpecił go wcale, oczekując, ażeby podstarzał, bo w późniejszym wieku brodawki, pieprzyki i znamionka nie miane za młodu, mszczą się za to, że je młodość rumieńcem zabiła...

Od chwili, gdy go podskarbic spostrzegł, już oczów oderwać od niego nie mógł. Zmieszał się nadzwyczajnie, poblądł, sparł na lasce i zmienionym wielce głosem, targnąwszy za suknię kasztelana... począł natrętnie pytać.

— Któż to jest ten chłopiec? kto ten chłopiec? na miłość Boga? kto to taki?

— Ale to paż królewski... Czemże cię tak uderza?...

— Jak on się zowie? jak się zowie? — domagał się natarczywie podskarbic.

— Pan Jan, albo jak go tu zwać zwykli, Janek Leliwa...

— Leliwa! Leliwa! jakto Leliwa?... I zamyślił się posępnie.

— Co ci jest? dla czego ci on tak wpadł w oko!

Podskarbic odciągnął na stronę przyjaciela.

— To osobliwsze, to okropne podobieństwo... — zawołał.

— Do kogo?

— Do pierwszego męża wojewodzinej, terażniejszej żony mojej; zdaje mi się, że upiorem wstał z grobu. Wiesz przecie, że herbem jego była także Leliwa.

— A no! więc cóż dziwnego, że w chłopcu, co do herbu należeć musi, znalazły się rysy rodowe... — odparł kasztelan spokojnie... — a zresztą... hm! kto tam o tajemnice kolebek i kotar pokusić się może...

— Ale zkądże on jest? co za jeden?

— Doprawdy nic nie wiem...

W tej chwili zaczęli się goście przybyli ustawiać w szereg... Marszałek bowiem wyszedł poprzedzając króla, a wkrótce potem ukazał się Stanisław August w mundurze kawaleryi narodowej, nader wykwintnie ufryzowany, piękne swe białe ręce w koronkowych mankietach wyciągnąwszy z niejaką pretensją, z twarzą uśmiechniętą, choć na czole czuć było raczej niż znać ledwie rozwianą chmurę. Podszedł naprzód do ambasadora, z którym się przywitał nader serdecznie i poufale... potem do grupy, która rodzaj dworu przy nim stanowiła, naostatek zwolna począł obchodzić zgromadzonych obywateli; parę razy bystry wzrok królewski padł na podskarbicę i szybko się od niego odwrócił i równie ciekawie znowu ku niemu skierował... Zdawało

się, jakby z trudnością mógł tę twarz zestarzałą i zwiędłą przypomnieć, nierychło też przyszła kolej przedstawienia się, gdyż Stanisław August zdawał się umyślnie krążyć, unikając podskarbic i zostawując go ku końcowi. Nie było to z pewnością oznaką łaski... Lecz król był tak systematycznie grzecznym dla wszystkich, iż nawet najzawziętszemu nieprzyjacielowi swemu nigdy nie uchybił. Nie było się więc o co obawiać... Podskarbic czekał... Stanisław jakby zakłopotany zbliżył się do niego, ceremonialny układając uśmiech.

— N. panie,—odezwał się podskarbic z niskim ukłonem,— muszę się WKMości jakby nowo przedstawiający, chociaż dawny czciciel jego i najwierniejszy poddany, po imieniu i nazwisku przypomnieć, bo nie mogę sobie pochlebiać, abyś WKMość tę twarz zmienioną raczył jeszcze pamiętać.

— Mylisz się, panie podskarbicu — odrzekł król sucho — imię i twarz jego są mi bardzo dobrze pamiętne, szczególnie dla zasług w ojczyźnie czcigodnego rodzica jego.

— Cieszę się, iż choć w ten sposób mam szczęście — począł podskarbic, ale król mu przerwał.

— Gdzież waćpan przebywasz, żeśmy go od tak dawna widzieć nie mieli przyjemności?

— Na wsi lub w Krakowie — odparł kłaniając się zapytany.

— A czcigodna małżonka, wszakże żyje? jak się miewa?

— Nie zbyt szczęśliwem cieszy się zdrowiem — rzekł podskarbic... i z domu się prawie nie rusza...

— Co za nieszczęście! osoba tak znakomitych przymiotów duszy, którąbyśmy radzi zawsze widzieli tu, gdzie jej cnoty i wpływ pożądanymi byłyby.

Podskarbic się kłaniał...

— A rodzina? — spytał król bacznie wpatrując się w podskarbicę.

— Pan Bóg nas nią nie obdarzył... — szepnął spytany.

— Jak to? wszakże po ś. p. wojewodzie, jeśli się nie mylę, syn był pozostał...

— Ten... ten... bąknął podskarbic niewyraźnie, — zmarł wkrótce po ożenieniu mojem...

— Proszę! co za nieszczęście! zmarł! nie słyszałem o tem wcale — dodał król — strata wielka i nieodżałowana, bo to rodzina była krajowi zasłużona, starożytna i znakomita.

To mówiąc Stanisław August cofnął się parę kroków i nader zimnem kiwnięciem głowy podskarbicę pożegnał...

Kasztelan czekał na niego... usunęli się więc w głąb sali; i byłby go wprowadził zaraz, mając zamiar zabrać z sobą, gdyby podskarbic, który wciąż śledził okiem chłopaka w paziowskim stroju... nie szepnął kasztelanowi: Proszę cię, zrób mi tę łaskę... Leliwa ów mocno mnie

intryguje, przyznam ci się... pomóż mi zapytać go o rodzinę i pochodzenie; znasz go pewnie.

— Bardzo dobrze — szepnął kasztelan, i zbliżyli się ku paziowi, który na nich obu z minką dosyć lekceważącą poglądał.

— Przepraszam cię, panie Janie — odezwał się kasztelan, zatrzymując się około niego — będzie to zapewne niedyskrecją z naszej strony... pan podskarbic, który jest skolligacony z rodziną Leliwitów, radby wiedzieć, z jakich i których Leliwów pochodzicie? Wszak ci to nazwisko razem familii waszej i herbu być musi.

Chłopiec się mocno zarumienił, oczy mu błysły, wargi zadrzały, popatrzył długo na podskarbicę i na kasztelana, zdawał się namyślać i odezwał z udaną obojętnością.

— Powinienbym za ten wzgląd podziękować, ale dobrze i dokładnie odpowiedzieć nie potrafię. Jestem sierotą, opiekun się mną zajmował, a zawczasem mi było rozpytywać o pochodzenie i szlachectwo moje; tyle tylko wiem, iż zapewne do imienia, które noszę, prawo mieć muszę...

— Ale nie bierzże znowu tak siarczyście zaraz niewinnego zapytania — odparł kasztelan — nikt wątpliwości nie ma o pochodzeniu. Jest to prosta ciekawość.

— Której ja, niestety! — dodał chłopiec żwawo, — zaspokoić nie potrafię... Jestem sierotą... o familii wiem mało, może mnie zawczasem odumarli.

— Któż się jego losem zajmował? — spytał podskarbic mocno się w niego wpatrując.

— Dalecy krewni — westchnął p. Jan Leliwa, skłonił się i prędko odszedł w głąb ku królewskim pokojom.

Podskarbic stał osłupiały. — Jednakże to jest — rzekł cicho — to niepojęte, to osobliwsze... to przerażające podobieństwo... Zapomniałem go o wiele zapytać, lecz widzi mi się, że nie ma lat dwudziestu... tak... Tu przerwał, głowę spuścił i zadumał się, jakby coś po cichu obliczał. Kasztelan go trącił w ramię.

— Na starość stałeś się jakimś tetrykiem zabobonnym... Chodź, mamy dziś ostrygi i do nich winko, powiadam ci, nektarek... Niech tam wszystkich Leliwitów... Bóg ma w swej opiece; losy ich moich ostryg nie warte.

I pociągnął go za sobą. —

Po scenie w karczmie na gościńcu i rozstaniu z Brzeskim, który szydersko ofiarował się na przekór już jechać za podskarbicem do Warszawy, nie spodziewał się on wcale, aby mu się dawny plenipotent istotnie tu miał stawić; zdziwiony więc był nie pomału, gdy sługa nazajutrz Brzeskiego oznajmił.

— Czegoż jeszcze ten stary łajdak chce? chyba żebym mu skórę wygarbować kazał! — zawołał podskarbic. — Puszczaj go; ciekawym...

W progu ukazał się powołany... Dawny pan podniósł nań oczy gniewne — Czegożes tu jeszcze?

— A kazałeś mi pan jechać za sobą, więc jestem. Mógłbyś pan sądzić, że się go lękam, a ludzie myśląc, że go istotnie okradłem... Tandem mnie pan masz... Jesteśmy dziś oba równymi obywatelami Rzeczypospolitej, jest sąd, są trybunały, masz co pan do mnie, to się rozprawmy...

— Zgago ty jakaś stara, przebrzydła! — mruknął podskarbic — powiadam ci, nie próbuj mojej cierpliwości. — Brzeski ręce założył na piersi i stał.

— Czego chcesz?

— Ja pytam, dla czegoś pan mi tu jechać kazał?

Podskarbic rzucił się w krzesło — Powiesz mi czy nie, coś z nim zrobił?

— Z kim?

— Z chłopcem...

— Nicem z nim zrobić nie mogłem, bo o nim nie wiem.

— To ja ci powiem, że ja o nim wiem! ja wiem! — krzyknął pięścią uderzając w fotel podskarbic — ha? rozumiesz?

— Jeszcze nie — odparł spokojnie Brzeski.

— Tak jest, sam los mi go wskazał; pytałem cię tylko dla wypróbowania, natura go napiętnowała, skryć mu się trudno, chociażście go dobrze pod pańskie skrzydełko przytulili, ale i tam go może ludzie znaleźć potrafią.

Brzeski ani na chwilę nie okazał zdumienia, nie odpowiedział nawet na groźbę, ruszył ramionami.

— Więc gdy już uwolniony jestem i niepotrzebny — odezwał się, — stopy pańskie całuję... do nóg upadam. — Spojrzeli sobie wzajem w oczy... Podskarbic zwrócił się tyłem — Bóg wielki! — mruknął Brzeski i wyszedł.

Paziowie J. K. Mości wszyscy mieszkali w zamku, zajmowali oni w głębi dziedzińca pokoiki na wyższych piętrach, których schody młodym nogom nie były straszne. Z wesołych tych stancyjek piękny widok rozciągał się na szeroką Wisłę i ogród zamkowy.

Poddani dozorowi marszałka dworu, ciągle zresztą będąc na oku króla, często bardzo używani przez niego i wysyłani, nie mieli wiele czasu do własnego rozporządzenia; lecz kto chciał z nich czemś ważniejszym się zająć, znalazł godziny ranne i wieczorne, o których rachunek nikt nie pytał. Większa część młodzieży obracała je zwykle na ukradkowe wycieczki do miasta, w towarzystwie przyjaciół z korpusu kadetów i szlacheckiej młodzieży; ale byli i tacy, co woleli dla przyszłości pracować. Wprawdzie paziowie, gdy się już ich nazwisko niegodziło z wiekiem, otrzymywali zwykle jakiś urząd, synekurę, kawałek

chleba bene merentium, ale nie każdy chciał na to rachować.

Do najzdolniejszych na dworze, najpowszechniej lubionych, a nadewszystko obudzających szacunek, na który młodzi nie mają zwykle czasu i sposobności zasłużyć, należał ów Janek Leliwa, który jakimś sposobem tajemniczym został przyjęty. Nikt w istocie wytłumaczyć nie umiał, jak z mnogich i silnie popieranых kandydatów do tej funkcji, zupełnie nieznanego chłopczyna, mimo współzawodnictwa miejsce to potrafił otrzymać. Nie wiadomo, kto go tak skutecznie polecił, ale godzili się na to wszyscy, iż chłopak zasługiwał na wyróżnienie i szczególne względy. Usiłowano w nim odkryć coś, czemby przybędę pobito, ale nie znaleziono. Jednym zarzutem, pod owe czasy pewną mającym wagę, było, iż się ze świetną rodziną, a nawet z żadną wcale wykazać nie mógł. Że ubogim był, tego mu nie zarzucano, bo i głuchoniemy Wilczewski i Turkuł i Płotnicki i wielu innych, równali się świętym tureckim... Towarzysze sarkali nań za benedyktyńską pilność i grzebanie się w książkach, ale król właśnie za to go lubił, Ks. Naruszewicz pod brodę głaskał, Trębecki mawiał mu czasem żartobliwie: Tu-Marcellus eris! Pokładano nadzieję w nim, iż na znakomitego literata urośnie, a co w literatach rzecz jest nadzwyczaj rzadka, zwłaszcza młodych, pan Jan Leliwa skromny był i ani z nauką, ani z talentem, ani z przedwczesnymi muzy płodami wcale się nie popisywał. Albertrandi powiadał o nim, że lepiej zna bibliotekę królewską od niego, i zaręczał, że zamiast się roskoszować dziewicą Orleańską Woltera i podobnymi wyrobami dowcipu, gruntownej nauki w starych łacińskich foliantach szukał.

Drwił wprawdzie z niego dowcipny Turkuł, iż pewnie do sukni duchownej i infuły tą drogą kroczy, ale Janek się na to ramionami ruszając uśmiechał, a drwiny tak znosił, iż nie było pociechy z niego sobie żartować, bo się nie gniewał. A gdy mu bardzo dopieczono i zmuszonym był się odciać, ciął tak, że na długo blizna została... delikatnie jak brzytwą, a głęboko do kości...

A pomimo uczoności swej, przedwczesny ten erudyta ze złocistymi włosami i niebieskimi oczyma, poważny, skromny jak panienka, bojaźliwy jak dziecko, miłym był serdecznym, usłuznym, i panie nazwawszy go Cherubinkiem, przepadały za nim, z czego on wcale nie korzystał. A że nie łatwo go było do towarzystwa zwabić i zatrzymać, więcej się jeszcze oń ubiegano... Król, gdy miał jeden z tych listów, które sam tak pięknie umiał i lubił układać, wysłać do ambasadora lub do którego z dygnitarzy, nikogo nie użył tylko Leliwy. Był najpewniejszym, że go nic po drodze skusić, zabałamucić nie potrafi... Do tych łask i szczególnych względów musiał chłopak dojść powoli, z początku bowiem nikt go nie znał, nie miał nikogo, coby go przypominał i zalecał; dorabiał się uznania i wysługiwał, by je pozyskać.

Izdebka, którą Janek zajmował w zamku, była może najmniej okazałą, najniewygodniejszą, i dostała mu się dla tego, że wszyscy nią pogardzili; potrafił z niej jednak uczynić z małemi środkami najmiłsze mieszkanko. Położona blisko poddaszów, zdala od wrzawy ucieszczanych kurytarzy, miała dwa okna na Wisłę i wesołe od nich światło. Przytykał do niej gabinecik, rodzaj sypialni ciemnej, w której kryło się wszystko, co do gospodarstwa należało... W izdebce była kanapka, stół przed nią, drugi do pracy cały założony książkami, na oknie kilka wazoników zielonych... Zresztą ubierały ją naukowe sprzęty, globusy, mapy, matematyczne narzędzia i przybór do rysunków, któremi się Janek także zajmował. Wszystko to ustawione w najlepszym porządku, z pewnym nawet wdziękiem, budziło zazdrość towarzyszków, u których większa przestrzeń cała była zawsze zagracona i w nieładzie.

— Ten Janek musiał chyba kiedyś służyć za chłopca w jakim dworze — mawiał Turkuł — tak sobie umie teraz być razem lokajem i panem...

Uderzało to zarówno towarzyszków jak starszą, iż nigdzie ani sylwetki, ani portretu, ani żadnej pamiątki familijnej u Leliwy nie było. Przy łóżku tylko w głowach stało piękne pudełko zamykane na klucz, z którego raz na wielkie naleganie połączone z żarcikami odpowiadając, chłopak dobył przepyszny łańcuch złoty z relikwiarzem, i pokazawszy go usta żartownisiom zamknął.

Chociaż największa tajemnica otaczała przeszłość Leliwy, który nie rad był się z niej spowiadać, ów łańcuch dawał do zrozumienia, iż z bogatej mógł rodziny pochodzić. Był to zapewne, domyślali się towarzysze, ostatni szczątek dawnej zamożności, gdyż na teraz Leliwa wydawał się ubogim, i gdy innym nadchodziły z domu pieniądze, on nigdy ani listów, ani żadnego nie odbierał zasiłku. Nikt też nie przybywał do niego z rodziny, czasem tylko stary kulawy jegomość, w którym domyślano się sługi domu, zachodził na chwilę, i po cichej, krótkiej rozmowie prędko się wynosił. Tu, jak na wsi, przezwano go poufale kuternogą. Wszystkie te szczegóły o Janku spisujemy tu dla tego, iż one nadzwyczajną obudzały ciekawość w mieście, i chciwie je chwytało, interesując się urodziwym i miłym chłopakiem... Wabiono go do wielu domów... ale widocznie unikał ich, i w jednym tylko czasem na chwilę się zjawiał...

Tak zwane romansowe przygody są wprawdzie rzadkie w życiu powszednim, lecz każdy myślą sięgając w przeszłość własną przyzna, iż ich sam kilka przeżył przynajmniej lub kilku był zdumionym świadkiem. Nie ciągną one za sobą tych skutków, jakie się z nich wywiązujać

zwykły w romansach, lecz mają często następstwa niespodziewane i dziwne. W owych czasach wielkiej dworu świetności, po wyborze Poniatowskiego jedna z rodzin z królem skolligaconych, rachując zapewne na protekcją N. Pana, ze wsi wybrała się na mieszkanie do stolicy. Składała się ona z wdowy, osoby w wieku ale żywej jeszcze i w pełni sił i zdrowia będącej, wiozącej trzy dorastające córki, dziedziczki znacznego ale odłużonego majątku... Pani Pisarzowa litewska, ten tytuł bowiem został jej po mężu, była osobą poważną, energiczną i umiejacą sobie we wszystkich życia przygodach dać radę. Po śmierci męża gospodarowała sama na wsi, układała się z wierzycielami, płaciła długi, a zarazem poczynała wychowanie swych córek, których piękność, imię, a wręście i majątek dawały im prawo do zajęcia najwyższych szczebli w towarzystwie. Pokrewieństwo króla starczyło za drugi posag, nie gardzili nim i ci nawet, co z Poniatowskimi i familią wojowali. Panny były bardzo piękne, dowcipne, żywe jak matka, i już wychowanie ich przez dwie Francuzki i jednego Szwajcara znacznie było posunięte, gdy do Warszawy z panią Pisarzową przybyły. Przez króla spokrewnione z Czartoryskimi, Zamojskimi, Branickimi, Tyszkiewiczami, miały wstęp do najpiękniejszych domów w stolicy. Pisarzowa, litwianka krwią i rozumem, dom urządzić potrafiła tak, że położeniu rodziny odpowiadał, wymaganiom towarzyskim, a zarazem nie rujnował pani. Wszystko, czego on potrzebował, a czego wieś dostarczyć tylko może, przywoził ekonom na furmankach z dóbr Pisarzowej; siano drób i zwierzyne, masło i krupy i mąkę... i wędlinki, a gdy trzeba było wystąpić, nie zabrakło też i zamorskich przysmaków, bo Pisarzowa choć oszczędna nie dała się upokorzyć. Nazywano ją powszechnie skąpą, była tylko rzadną.

Dwie starsze córki, Ludwika i Anna, już na świat się pokazywały i były w pełnym rozkwicie, zwano je litewskimi aniołami; trzecia najmłodsza, Ewa, drobinczkę ułomna, bo miała jedną łopatkę wyższą niż drugą, twarzy może śliczniejszej jeszcze niż siostry; tej nie pokazywano jeszcze chyba w poufałym towarzystwie, potrosza w nadziei, że się ta łopatką sprostować potrafi jakimiś mądrymi gorsekami, w części dla tego, że istotnie bardzo młodziutką jeszcze była.

Biedna ta Ewa, do której matka najmocniej się przywiązała, poddawała się z anielską cierpliwością próbom medycznym i chirurgicznym, nie dla siebie ale dla zaspokojenia matki... która się o los jej trwożyła. Mimo tej ułomności Ewunia była tak piękną anielsko, taki miała wyraz słodczy na twarzy, na ustach taki uśmiech dobroci niewyczerpanej, że kto na nią spojrział, o krzywem ramieniu zapominał. Ale dla matki, dla matki, ta ułomność była nieustannem strapieniem, mnogiemi oblanemi łzami; napróżno Ewunia zapewniała ją, że za mąż nie pójdzie,

że wcale się nie będzie czuć przez to nieszczęśliwą, że jej tak dobrze na świecie, iż nic dla siebie więcej nie pragnie: matka płakała po cichu. Ludwika i Anna zaledwie się ukazały w Warszawie i na balu w zamku, obudziły mnóstwo najgorętszych uczuć i najzjadlejszych zazdrości.

Pałacyk pani Pisarzowej znajdował się na Nowym Świecie niedaleko ś. Krzyskiego kościoła, tak że na nabożeństwo nie potrzebowały panie jechać powozem, boby to nawet śmiesznie było, gdyby się wieść kazały o trzy kroki, chodziły zwykle skromnie ubrane i zakwefione pieszo. Trafiło się jednego dnia rano, iż po balu u księcia Radziwiłła, niedźwiedź z jego stajni, którego cygan dozoruający na honorze znać pokrzywdził, wyrwał się rozjuszony ze stajni i z podwórza... Cała czereda psów, koni, ludzi natychmiast pogoniła za nim w ulicę, ażeby go złapać lub ubić, gdyż rozwścieklone zwierzę zaraz na wstępie kuchnię, który stał w bramie pałacu, na śmierć zadarło i żebraka śmiertelnie okaleczyło.

Szczególnym trafem Pisarzowa z córkami szła właśnie o tej godzinie na ranną mszę do świętego Krzyża, gdy niedźwiedź wlokąc za sobą łańcuch, obroczone już cały, rycząc i drąc, co spotkał po drodze, wpadł prawie na idące kobiety... Pisarzowa sama, starsze dwie panny, służka, skryły się jakoś pospiesznie do kościoła wbiegłszy, gdy Ewunia, bardziej nad nie przelekła, pośliznęła się, padła na samej drodze i byłaby niechybnie stała się pastwą rozjuszonego zwierza, gdyby jadący konno z zamku Leliwa nie przypadł tak, że ją od niedźwiedzia sobą i koniem zasłonił. Zwierzę rzucił się na niego i na konia, skaleczył mu nogę, ale chłopak odważny, wołaniem i zachętą ośmieliwszy pannę i dając jej czas się ukryć, z olstry dobył pistoletu i bestyą trafnym strzałem trupem położył. To mężne zastawienie się Janka, na które mnóstwo osób patrzyło, a któremu Ewunia życie była winna, zjednało mu najczulszą wdzięczność pani Pisarzowej. Król także nie mógł się przytomności jego odchwalić; tegoż dnia posłał do niego Lafontaine, sam go odwiedził dopytując o ranę, która acz bolesna nie była groźną, niedźwiedź bowiem tylko mu nogą poszarpał.. Nazajutrz zaś pojechała pani Pisarzowa z podziękowaniem. Było to naówczas w powszechnym zwyczaju, że wszyscy niemal brali podarki i

pieniądze. Przyjmowali je szambelanowie królewscy, brał jawnie za usługi wojewoda Stępkowski, ofiarowano urzędnikom tabakiery pełne złota, a paziom, gdy dobre przywozili wiadomości, po kilkudziesiąt dukatów, pierścionki i zegarki. Pisarzowa dowiedziawszy się, że Leliwa był ubogi, w bardzo piękny zielony jedwabny woreczek włożyła sto dukatów i z niemi udała się na zamek. Jakież było jej zdziwienie i wstyd, gdy chłopak ofiarowaną nagrodę stanowczo odrzucił i prosił, aby go nią nie upokorzyła. Miano to za niepotrzebną dumę i śmieszność, boć wielcy panowie przyjmowali pensye od dworów zagranicznych, na jurgielcie ambasady były pierwsze imiona Rzeczypospolitej, a tu ubogie chłopię za ofiarę życia dla osób nieznanych nawet takiego podarku przyjąć odmówiło...

Skutkiem jednak znalezienia się tego było, że Pisarzowa polubiła zbawcę Ewuni i prosiła go, aby jej dom za krewny i przyjaźny sobie, za familijny uważał.. Gdy Leliwa raz tylko na chwilę po wyzdrowieniu przyszedłszy, później długo nie ośmielił się pokazać w domu Pisarzowej, sama posyłała po niego, zapraszała na obiady, gdy nikogo nie było, i obchodziła się z nim jak z krewnym. Ewunia na pamiątkę wyszyła mu za pozwoleniem matki woreczek, na którym była data wypadku i jeden wyraz: wdzięczność.

Siostry śmiały się z młodziuchnej Ewuni, że się gotowa w swoim zbawcy zakochać, tak nawet wedle wszelkich reguł romansowych być było powinno; Pisarzowa jednak nie przypuszczała, aby jej córka mogła się dopuścić takiego dziwactwa... ani by ów ubogi paż, nie mający ni domu ni łomu, śmiał oczy podnieść na krewną N. pana. Z zupełną ufnością w zdrowy rozsądek obojga, matka ile razy przyszedł p. Jan Leliwa, co się nie zbyt często trafiało, posyłała po Ewunię i dozwalała im bez przeszkody mówić z sobą. Były to jeszcze dzieci! a bawili się tak po dziecinnemu, a tak razem poważnie, iż siostry starsze dosyć się z nich naśmiać nie mogły... I nikt podobno, nawet troskliwa matka nie dostrzegła, iż między ocaloną a wybawicielem zawiązał się stosunek nader czuły... jedna z tych cichych miłości wyjątkowych, które dla tego, że wierzą w swą trwałość, spokojne są i szczęśliwe...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BANITA.

DRAMAT HISTORYCZNY W V. AKTACH.

OSOBY.

Księżniczka Gryzelda Batorówna, siostrzenica króla Stefana.

Księżna Raseyi, siostra króla.

Jan Zamojski, kanclerz koronny, starosta krakowski.

Pani Wapowska, kasztelanowa przemyska.

Zosia, jej córka.

Samucha, niegdyś hetman Zaporozia. (Samuel Zborowski.)

Kazimierz Mroczek, pisarz zaporoski } przyjaciele

Ezechiel Zdora, chorąży } Samuchy.

Baron Winrych.

Zorya, Cyganka.

Stary Cygan.

Marszałek dworu królewskiego.

Marszałek dworu kanclerza.

Zaporozec.

Rzecz dzieje się częścią w Krakowie, częścią w okolicach Łobzowa.

AKT I.

(Sala w zamku królewskim.)

SCENA I.

MARSZAŁEK DWORU KRÓLEWSKIEGO, EZECHIEL

KAZIMIERZ (wchodzą)

MARSZAŁEK (wprowadzając ich).

W tej sali zechcą Wielmożni Panowie
Zaczekać chwilę. Nasz król najjaśniejszy,
Jak się wyrazić raczył właśnie w mowie,
Przeznaczył pracy cały dzień dzisiejszy.
Kanclerz koronny od rana z nim bawi,
Jemu panowie suplikę oddadzą,
On chyba jeden posłuchanie sprawi,
Bo wstęp wzbroniony, gdy u króla radzą,
Proszę o godność mych panów dostojnych.

KAZIMIERZ.

Kazimierz Mroczek, pisarz zaporoski.

EZECHIEL.

Ezechiel Zdora, chorąży rôt zbrojnych,
Którym w Infantach dowodzi Zborowski.

SCENA II.

EZECHIEL, KAZIMIERZ.

EZECHIEL.

O kanclerzu wszędzie mowa,
Oczarował kraj ten cały,
Że aż nieraz boli głowa
Słuchać ciągle te pochwały.
Zkąd ta wziętość? — te honory?
Bożek szlachty! I na dworze
Nasz król wielki, sam Batory,
Bezeń obejść się nie może.
Niech to króla nie obraża,
Lecz jak pojąć, by pan taki
Wzniósł tak w górę bakałarza,
Co gdzieś włoskie uczył zaki? —

KAZIMIERZ.

Co ty pleciesz? Stefan wielki
Słynie z światła i z oręża,
Jemu wdzięczność i hołd wszelki,
Że w Zamojskim znalazł męża.
Jego radą król wzmocniony,
Orzeł Rzeczypospolitej
Wzleciał dumnie nad zagony
I tkwi groźnie w górze wzbity,
Mir zawitał nam po wojnie,
Sąsiad sojusz z nami chowa,
I na rady król spokojnie
Już powrócił do Krakowa.

EZECHIEL.

Daj tam spokój z tym Krakowem!
Ładu znaleźć w tem nie umiem,
I na tem dziwactwie nowem
Ja się wcale nie rozumiem.

KAZIMIERZ.

Ezechielu! myśl twa lata
W kraj, gdzie się z tobą poznałem,
W zaporoski kraniec świata,
Gdzie miecz, kopia, prawem całym.

EZECHIEL.

No, ty sam odpowiedz przecie,
Człek czyż wszystko sądzić może?
Sprawiedliwszem cóż na świecie,
Jak te nasze sądy Boże?

Gdy do kogo co upatrzę,
Miecz lub topór ognia skrzesza,
We dwóch tylko spór się zatrze
I nikt trzeci się nie miesza.
Tu — Starostwa, Sądy, Grody
Biorą w Turmę wnet szlachcica;
Itoż droga mi do zgody?
A to piękna okolica!
Ja w tem zdania nie odmienię,
Lepiejby się w Polsce działo,
Gdyby o jej powodzenie
Mniej się ludzi ubiegało.
Wszak po świecie odkąd chodzę,
Mnie nie znaną sprawa inna,
Zrąbać tego, co mi w drodze,
Rzecz rycerska i niewinna.

KAZIMIERZ.

Takie prawisz wciąż androny,
Że aż słuchać cię nie miło.

EZECHIEL.

Ależ Kaziu! czyż szalony!
Czy ci w mózgu się zaćmiło?
Wszakże sądów masz owoce,
Że nasz hetman, pan Samucha,
W lasach błąka dnie i noce,
Bo wyroku tego słucha.
Pierwszy rycerz tego świata,
Aż pomyśleć boli serce,
Z takim wstydem, długie lata,
Pozostaje w poniewierce.

KAZIMIERZ.

Któż nademnie czci hetmana,
Któż go lepiej kochać zdolnym?
Czyż nie pragnę mego pana
Od tej klątwy ujrzeć wolnym?
Ale na nim wyrok cięży,
Pan Samucha jest banitą.
To głos pierwszych kraju męży
Z całą Rzeczpospolitą.
Bo senator z jego dłoni
Legł zabity w oczach króla,
Zbrodni zemsta za nim goni,
Taka była sądu wola.

EZECHIEL.

Że miał zajście z nim w zabawie
Czy w dyspucie... zabił... kwita!
Co się mieszać ma w tej sprawie
Cała tam Rzeczpospolita?...

KAZIMIERZ.

O! nie tylko wyrok braci
Samuela duszę gniecie,
Dręczy w innej go postaci
Sąd najwyższy na tem świecie.
Bo wyrzutów krwawy żmije
Zamieszkały w jego łonie,
Próżno je sam sobie kryje,
Często w zgryzot falach tonie.
Nieraz usną towarzysze,
A ja czuwam, gdy on drzemie;
Jego senny głos wciąż słyszę:
Wapowskiego woła imię.

EZECHIEL.

To zbyt dziwnem mi się zdawa!
To mu się coś uroiło;
Czy tam każdy we snach stawa,
Z którym mieczem się bawiło?
A cóż jeszcze pan Samucha!
Co go zdawna jakby króla
Zaporoże i Niż słucha.
Wszędzie rządzi jego wola;
A w turnieju, czy też w bitwie,
Czyjaż moc go pokonała?
Jemu równych w Polsce, Litwie
Ziemia dotąd nie wydała.

KAZIMIERZ.

Sława jego w Polsce znana,
I od morza aż do morza
Wieść latała wszędzie gnana
O hetmanie Zaporozia. —
On kozacze tam plemiona —
Te niesforne, dzikie hordy,
Silnie ujął w swe ramiona
I powstrzymał łupy, mordy.
Pogoń Turka lub Tatara
Na zapędy im wystarcza,
I znów kozaczyzna stara
Dziś dla Polski wierna tarcza.
A tak serca wziął w zdobyczy,
W jakąkolwiek spojrział stronę,
Że kozacy tam... na Siczy
Chcieli włożyć mu koronę.
Lecz go taki blask nie kusi,
On syn wierny swojej ziemi,
I buławę tylko Rusi
Chciał wzniesić w równi z koronnemi.

EZECHIEL.

A któż lepiej znać go może
Niż ja — sługa jego domu

Com z Samuchą w jednej porze
Ze szkół uciekł pokryjomu.
Bo my obaj Dyssydenci...
Ja uciekłem pokąd pora,
Skorom ujrzał co się święci,
Ze mnie chcieli mieć Pastora.

Bo w domowym nudno progu,
A ponoś go ojciec swatać
Miał z księżniczką na Ostrogu.
Wdzięki większe w tej nierównie,
Którą w Węgrzech poznał potem,
W tej Gryzeldzie Batorówniej.



Jerzy Lubomirski. (Ob. str. 362.)

KAZIMIERZ.
A Samucha?

EZECHIEL.
Chciał polatać,

KAZIMIERZ.
Ciszej! Przebóg!

EZECHIEL.
Nikt nie słyszy.

To dziewczoja jakich mało,
A nasz Samuś...

KAZIMIERZ (przerywa).

Mówże ciszej.

Cóż cię znowu opętało?!
Naszę sprawę dasz na nice,
Gdyby była rzecz wykryta,
Że po króla siostrzenice
Śmiałyby sięgnąć ów banita. —
On ją poznał w Kumiswarze;
W sercu żywi wciąż nadzieję
Wstęga, co z jej rąk mu w darze
Na pancerzu jego wieje;
Ta myśl odtąd życiem jego,
Pod jej godłem wjeżdża w szranki
I wśród boju najkrwawszego
Wstęga świeci mu kochanki;
I dziś dla niej się odważa
Wejść w zbrońione mu dziedziny,
Bo wiesz, na co się naraża
I jak zwiększa jeszcze winy.
Nas w poselstwie tu wyprawia
Błagać łaski swego króla,
Wyrok, co go pod miecz stawia,
Może zmieni pańska wola.
On się korzy — powoduje —
On — tak dumny — popędlivy.

EZECHIEL.

Lecz przeciwnie — ja znajduję,
Że Samucha zbyt cierplivy.
Hufiec z sobą przywiózł skrycie,
Złożon z ludu kozackiego;
Jemu każdy odda życie,
A ja wodzem hufca tego.
Śmiało mógłby się domagać
I przypomnieć, że rycerzem,
A nie króla kornie błaga,
Lub się kłaniać przed kanclerzem.

KAZIMIERZ.

O nie — o to jam bezpieczny,
Tak nie sędzę o Samielu;
Woli z lubą rozdział wieczny,
Niż krwią bratnią dójść do celu.
Lecz z twym hufcem bądź ostrożny!
Bytność jego gdy zdradzona,
Niezapomnij! — nasz król możny,
I na zawsze rzecz stracona.

EZECHIEL.

Posłuch w mem żołnierstwie całym.
Nawet teraz — niedaremnie

Na odjezdnem zakazałem
Rabowania im... bezemnie.

KAZIMIERZ.

Lecz pamiętaj, Ezechielu!
Wszystko zgubi pierwsza burda.

EZECHIEL.

Ależ Kaziu! przyjacielu!
Zajście małe to tam furda.
Gdy co samo w ręce wpada,
Że za ledwo się nie prosi,
Toć zostawić nie wypada;
Od czegoż bo miecz się nosi?
Rycerzowi — miecz w potrzebie,
Czem dla łowca pełna knieja,
Lub czem folwark w żyźnej glebie
Dla szlachcica hreczkosieja.

KAZIMIERZ (z uśmiechem)

Tobie w głowie Zaporozie,
I tu chcesz tak gospodarzyć;
Ale gdzież sumienie? — Boże!
Tak Samuchy życie ważyć.

EZECHIEL (po namyśle)

Zawsześ mówił, że mej głowie
Mniej ufales niż ramieniu;
Na rycerskim lgnij więc słowie,
Na solennem przyrzeczeniu.
Odtąd Zdora ślepo słucha —
Na twe tylko pójdę rady,
Choćbym ujęć miał za piecucha,
Mieć nie będę z nikim zwady.
Bo rzecz ważna los hetmana,
Ja posłusznym jak żak będę
I w obronie chyba Pana
Miecza z pochwy mej dobędą.

KAZIMIERZ (ściskając jego rękę)

Tyś szlachetny. — W twojem słowie
Dziś spoczywa cześć rycerza,
Lecz przezornym bądź i w mowie,
Gdy przemówisz do Kanclerza.

EZECHIEL.

Niech mnie żywcem połknie piekło
Wprzód, nim zbrudzę przez wybryki;
Wszak nim ze szkół się uciekło,
To człek słuchał retoryki.

SCENA III.

Ciż, KANCLERZ, MARSZAŁEK (wchodzą z lewej)

MARSZAŁEK.

Pan kanclerz. (odechodzi)

KANCLERZ.

Witam, towarzysze mili.

Panie pisarzu! nasze Zaporozie
Waszą Ojczyzną stało się od chwili,
Gdyśmy się zbiegli w Hermansztadzki dworzec.
A — i pan Zdora! waleczny chorąży,
Co na Inflantach w ostatniej wyprawie
Wstawił swe imię, i nawet wieść krąży,
Że wodza swego prawie zrównał w sławie.

EZECHIEL.

Co to za sztuka, że o mojej dłoni
Słuch tam doleciał niejednego ucha?
Bo jakież rycerz nie wstawi swej broni,
Kiedy na harce prowadzi Samucha?

KAZIMIERZ (przerzywa mu)

Pan Samuel dotąd w Inflantach dowodził,
Bo w nowych ziemiach Rzeczypospolitej
W bojach się znowu z ojczyzną pogodził,
I tam go wyrok nie sięga banity.
W nas dzisiaj widzisz jego posłów, panie!
Co kornie klęknąć pragną u stóp tronu,
Aby wyjednać króla zlitowanie.
Do rodzinnego niech wróci zagonu,
W ramiona znowu niech król przyjmie syna
Słynnego w Polsce — jak Polska daleka,
Niech go sromotny już wyrok nie zgina,
U wrót ojczyzny niech próżno nie czeka.

KANCLERZ.

W złą porę, bracia, ponoś przybywacie,
O łaskę trudno na zamku krakowskim,
I gniew królewski przeciw sobie macie,
Gdy się zechcecie wstawiać za Zborowskim.
Bo ród ten możny kirem kraj uściela
I spokój państwa bezustannie truje:
Marcin, brat starszy pana Samuela
Przeciw królowi czarne spiski knuje;
Tak jest — ów Marcin, koronny marszałek,
Łaskami darzon — ośmiela się przeciw
Zdrady gotować, i wicherzy ten śmiałek,
Aż Batorego berło go przygniecie. —

EZECHIEL.

Że pan Samucha jest niczem w tym kroku,
Ręczę. On nigdy nic skrycie nie knowa,
Działa otwarcie — bo miecz ma przy boku
Na cześć zaręczam rycerskiego słowa.

KANCLERZ.

Ja chętnie wierzę w wasze zaręczenia,
Choć może płonna ludzi mię nadzieja;
Wszak z rodem jego łączą mnie wspomnienia,
W jego rodzicu miałem dobrodzieja.
Znam Samuela: burzliwy, namiętny,
I praw powagę zwykł mieć w poniewierce,
Dla władzy każdej zuchwały i wstrętny,
Lecz duch ma wzniosły i szlachetne serce.
On nie pamięta — że kraju ustawy
Święty relikwiarz, na którego straży
Winien stać każdy obywatel prawy,
A biada temu, który je znieważy.
On nie pamięta — że jako poganie
Bogiem przewali własne namiętności,
Tak burzyciele — gwałty, podżeganie
Zdobią nazwiskiem: Ojczyzny miłości. —
O! dyssydenckie to praktyki nowe
Zwaliły w duszy jego ołtarz stary,
I wiry szaleństw kręcą jego głowę,
Bo nie napoił się z kielicha wiary. —

EZECHIEL.

Kto jego wygnął — niech sam siebie wini;
Tak — nie poprawi się pewnie Samucha —
Prawdziwie nie wiem, czy dobrze ten czyni,
Co chcąc ugasić na żar jeszcze dmucha?

KANCLERZ.

Wyrok banicyi dotąd na nim cięży,
Bo w oczach króla — kasztelan przemyski,
Lubo przypadkiem, — wśród błysku oręży
Na Samuela się rzucił pociski
I upadł trupem. — Na błaganie wdowy
Król Henryk skazał sprawcę na wygnanie,
I kłątwa z jego nie ustąpi głowy,
Pokąd Wapowskiej zadość się nie stanie.

EZECHIEL.

Przypadkiem zabił. — I cóż w tem strasznego?
Za to szlachcica turbować!... czyż ładnie?...
Czy to kto słyszał — sprawę zdawać z tego,
Co tam przypadkiem — pod miecz komu wpadnie.

KANCLERZ.

Lecz sąd...

EZECHIEL (przerzywa)

Sąd ludzki — ale nie sąd Boski!
Kto jemu nierad — niech w szranki z nim stawa,
I niechaj kopią poprze swoje wnioski,
A wtedy pozna czyja słuszna sprawa.
Bo to niesztuka sądzić za stolikiem,
Gdy cała jeszcze wtoruje stolica,
Białe na czarne przerabiać językiem
I bezbronno tak pieniać szlachcica.

Ot... funta kłaków to wszystko nie warte
(Do Kazimierza, który mu chce przerwać)
Ej!... nie przeszkadzaj! i ja gadać umiem,
Ale wypowiem me zdanie otwarte,
Że ja tych szalbierstw wcale nie rozumiem.

KAZIMIERZ (cicho do niego)
Czyżes oszalał, takie prawić brednie!

KANCLERZ (z uśmiechem).
Nie mam ci za złe! panie Ezechielu,
Bo zdawna znam twe serce niepoślednie,
Które przy twoim wzrosło przyjacielu.
I mnie z Samielem także węzły łączą,
Choć dziś rozdziela powaga urzędu,
A w tym prywaty — wsze sprawy się kończą,
I innego nie zna już Zamojski względu.
Ale wiem dobrze: od niejkiej pory
Banit granice przeszedł kraju tego,
A choć miecz prawa te skreślił zapory,
On jest w dziedzinach starostwa mojego.
Wszędzie gdzieindziej i w każdej godzinie
Na Zamojskiego niech liczy Zborowski,
Lecz nie zapomnę nigdy w mej dziedzinie,
Że banit — a ja... starosta krakowski.
Wy go przestrzeżcie, towarzysze mili!
Dopokąd ramię go moje nie ściga,
Niech mnie nie stawia wobec strasznej chwili,
Przed którą serce moje tak się wzdryga.

KAZIMIERZ (z bolem)
Więc z taką wracać nam przyjdzie odprawą?

EZECHIEL.
I tak to płacą usługi hetmana!

KANCLERZ.
Na Zaporozu on się okrył sławą,
Lecz ta buława w ojczyźnie nieznana,
Pokąd jej sejmu nie potwierdzi wola,
Co niechaj sprawić raczy łaska Boża;
Zawsze ten hetman w oczach sejmu, króla
Watażką tylko będzie Zaporozą.

EZECHIEL (z gniewem)
Watażką!?...

KAZIMIERZ (przerywa mu)
Panie! i toż zysk nasz cały?
Wszak Batorego wielkość światu znana
Z łask, co zdrojami na kraj się wylały;
Czyż nic już nie ma dla mojego Pana? —

KANCLERZ.
Może na pomoc liczyć Zamojskiego,
Bo ta dłoń dłonią jego przyjaciela,
Po za obrębem urzędu mojego
Ja nie zapomnę pana Samuela.

SCENA IV.

Ciż, **KSIĘŻNA RASEYI**, **GRYZELDA** (wchodzą z prawej)

KSIĘŻNA RASEYI (do kanclerza)
Czy król pokończył zatrudnienia swoje?
Wstęp niewzbroniony?

KANCLERZ.
Nie, dostojna Pani!
Dla was otwarte zawsze te podwoje;
Tej przerwy w pracy pewnie król nie zgani.

KSIĘŻNA RASEYI.
Idź więc Gryzeldo! — do stryja i pana.

GRYZELDA (na stronie, spostrzegłszy Kazimierza i Ezechiela)
Pan Mroczek!... Zdora!.. (stoi pomieszana)

KSIĘŻNA RASEYI.
Lecz cóż ci się stało?
Tyś tak pobladła... takaś pomieszana.

GRYZELDA.
Nic... księżno ciotko!... to się księżnie zdało...

EZECHIEL (cicho do Kazimierza)
Patrz — to Gryzelda! — poznała nas może.

KAZIMIERZ (cicho do niego)
Milcz!...

KANCLERZ.
Widać niebo nam pomoc przysła,
Anioła wiedzie tutaj ramię Boże,
I zniknie chmura, co błękit pokryła.
Czyż prośbom takim król się oprzeć zdoła?
Głos to jedyny, który może sprawi,
Że klątwa spadnie z Samuela czoła,
Jeśli księżniczka za wami się wstawi.

EZECHIEL.
A tak... księżniczka!... interes skończony! —
Wszakże Samucha od dawna jej znany —
I przecież wiemy...

KAZIMIERZ (cicho, przerywając mu).
Ach! milcz... milcz... szalony!...

GRYZELDA (na stronie)
Samucha!... Ratuj mię Boże kochany!
(Kazimierz i Ezechiel kłękają przed Gryzeldą i całują jej ręce)

KAZIMIERZ (u nóg jej)
Dostojna pani! — my zebrzem litości,
Wstaw się za nami! niech nasz pan znękany
Znowu z wygnania w swe progi zagości,
Niechaj rodzinne znowu ujrzę ściany.

EZECHIEL (podobnież)
Przed tobą, pani, padłem na kolana,
Spraw, nasz Samucha niech się już nie smuci,
Niech wszystkie winy przebaczą hetmana,
I niech do domu bez gniewu powróci.

GRYZELDA (ścisnąc ich ręce)
O! Boże, Boże, cóż ja pomódz mogę?

KANCLERZ.
Wstawienie także śmiem łączyć z mej strony;
Pani! Ty w ręku masz zbawienia drogę,
To pierwsza proźba do mej narzeczonej.

EZECHIEL (zrywa się)
Co?

KAZIMIERZ (podobnież)
Narzeczonej!...

KANCLERZ.
Tak, król miłościwy,
Nad wszelką miarę darzy niegodnego,
I jego sługa już jutro szczęśliwy
Złączony będzie ze krwią rodu jego.

EZECHIEL.
Jutro?... Pan kanclerz!... Ale...

KAZIMIERZ (cicho do niego)
Przebóg! cicho!
Bo wszystko zgubić możesz przez tę wzmiankę.

EZECHIEL (na stronie)
Oj! z rąk Samuchy zje on kiedyś lichy,
Że mu się ważył tak zdmuchnąć kochankę.

GRYZELDA (chwiejąc się)
Idę do króla, dopomóż mi Boże!

KSIĘŻNA RASEYI (cicho do Gryzeldy)
Rozumiem ciebie — znam głębię twojej duszy;
Tyś Batorówną, przeto się nie trwożę,
Bądź mężna mimo sercowych katuszy.
(odchodzi w prawo)

SCENA V.

Ciż, WAPOWSKA, WINRYCH (ze spuszczoną przyłbicą pozostaje w głębi sceny)

WAPOWSKA (wchodząc)
Z przed tronu króla najmiłościwszego
Przybywa tutaj nieszczęśliwa wdowa,
Lecz przed starostą zamku krakowskiego
Z ust jej błagalne już nie wyjdą słowa.

Stoi przed wami tu — obywatelka —
Sprawiedliwości ona głośno woła;
Bo chociaż grodu potęga tak wielka,
Bezprawia jednak zaległy dokoła.
Samuel Zborowski, ów zbójca — banita —
Sam w tem starostwie zbrojne hufce ściąga,
A nasza krzywda jego krwią niezmyta —
Bezkarne z łez mych — i z grodu urąga. —

KANCLERZ.
Szanuję, pani! ból twojego serca,
Ale starostwa sam władzę piastuję;
Jeśli w ręce me popadł morderca,
Prawa zniewagi wnet gromy uczuje.

WAPOWSKA (patrzac znacząco na Gryzeldę)
O! w grodzie mogą być jakieś powody,
Że wyrok sądu butwieć będzie marnie,
I długo jeszcze — ów pan Samiel młody,
W starostwie będzie grasował bezkarne.

GRYZELDA (na stronie, pomieszana)
Czy się domyśla?... ten jej głos... spojrzenie...
Zatrutą strzałą wpadł w głębi serca mego.
Boleść to straszna!... takie poniżenie!...
Do króla idę... trza ratować jego... (odchodzi w lewo)

SCENA VI.

Ciż, prócz GRYZELDY.

KANCLERZ (na stronie)
Dziwna jej mowa!... Gryzelda zmieszana...
Cóż to ma znaczyć?... pojnować nie mogę.

WAPOWSKA.
Panie kanclerzu! dusza skołatana
Na oślepcę leci dziś na zemsty drogę.
Król najłaskawszy dał mi posłuchanie,
Sprawiedliwości sama miecz uchwyć,
Ze Samuelem wdowa w szranki stanie,
Gdy tu — na niego za słabe prawice. (wyjmuje list)
Z tem pismem króla ty ujrysz kobietę
Groźniejszą jemu niż urzęda twoje,
Bo wszędzie wolno jej chwytać banitę,
I ściągać nawet w królewskie podwoje.

KANCLERZ.
Na zbrodnię sądy, trybunały mamy —
Ale to pismo — czyliż jest powodem,
By łasce króla kto śmiał wkładać tamy?

EZECHIEL (cicho do Kazimierza)
To jędza jakaś widać z piekła rodem.

SCENA VII.

CIŻ, GRYZELDA (wchodzi)

KANCLERZ (idąc naprzeciw niej).
I jakież wieści?

GRYZELDA (ze smutkiem).
— Napróżno! — król gniewny! —
Na prośby moje rzekł: „Co? za Zborowskim?“...
I dodał — na mnie zwróciwszy wzrok rzewny: —
„Nie ja tu jestem starostą krakowskim.“

EZECHIEL.
Haniebnie!

KAZIMIERZ.
Boże!

KANCLERZ.
Rozumiem dokładnie!
(zwracając mowę do Ezechiela i Kazimierza)
Niech więc z mych dziedzin uchodzi banita!
Bo biada! jeśli w ręce moje wpadnie,
Powinność moja w sumieniu wryta.
(odchodzi z Gryzeldą w prawo)

EZECHIEL (cicho do Kazimierza, wskazując Winrycha).
Patrz! jakiś rycerz tam stoi za progiem.
On przybył tutaj wraz z kasztelanową.
Niby przypadkiem — wytnę go ostrogiem.

KAZIMIERZ.
Wara!... Pamiętaj na rycerskie słowo.

SCENA VIII.

WAPOWSKA, WINRYCH.

WAPOWSKA (do siebie)
Tak jest — pan Samuel przekracza granice,
I pod księżniczki on bezpieczny tarczą;
O! — ich sercową znam już tajemnicę,
A jej poszlaki może mi wystarczą. (do Winrycha)
Wszyscy odeszli — przybliży się Baronie!

WINRYCH (odslania twarz i wchodzi)
I jak rzecz stoi? Mogę się ośmielić
Spytać, czy kanclerz myśli o obronie,
Czy chce prośzonej pomocy udzielić?

WAPOWSKA (z dumą)
Nie zwykłam prosić, gdzie rozkazać mogę.
Niech wyrok w rękach starosty butwieje,
Ja sama zdołam znaleźć zemsty drogę,
I pod przęgiem zabójca zblednieje.
Winrychu! — twojej ja ufam pomocy,
Wzajemne słowa między nami stoją:
Skoro banita będzie w mojej mocy,
Ręka mej córki Taidy... jest twoją. —

WINRYCH.
Pani! zbyt wielka mnie czeka zapłata,
Z nią się nadzieja w mojem sercu chowa;
Choćbym go ściagać miał najdłuższe lata,
Przysięgam! — twoją Samuela głowa.
(Zasłona spada.)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

Jerzy Lubomirski.

Z obawą nieledwie przychodzi mi brać pióro do ręki, gdy wypadło pisać o mężu, który z rzeczywistą szkodą dla naszej ojczyzny zgasł, rozpoczynając dopiero od niedawna działalność, o której objęcie walczył przez znaczną część swego życia.

Z obawą mówię, bo zaraz po śmierci Lubomirskiego (um. d. 24. maja 1872) posypało się tyle panegiryków na niego, że aby nie popaść w ten sam ton płaczków pogrzebowych i panegirystów, uczulem prawie pokusę podnieść tylko ujemne strony śp. Jerzego, a to tem bardziej, że nie obawiałbym się bynajmniej ściągnąć sobie przez to gniewu jego cieniów. Posiadał on tyle pokory chrześcijańskiej i był sam dla siebie tak surowym sędzią, że wytknięcie wad i błędów przyjąłby niezawodnie bez urazy.

Nie chodzi tu jednak ani o naganę ani o pochwałę,

nie chodzi o nekrolog, ale raczej oto, aby rzucić rys charakteru i dać streszczony obraz życia, w którym się ten charakter rozwijał i wywierał.

Należy to przyznać Jerzemu Lubomirskiemu, że posiadał charakter właściwy sobie, odrębny, nietylko odróżniający go od powszednich, bezcharakternych ludzi, ale cechujący go w taki sposób, że postać jego nie gasła nawet wśród blasku różnych pierwszorzędných znakomitości, w których gronie prawie przez całe życie się obracał.

Przypomnimy tylko tę okoliczność ważną w życiu Lubomirskiego, że będąc połączony ścisłą przyjaźnią z Zygmuntem Krasińskim i zostając z nim w ciągłej korespondencji, nie uległ przecież przewadze tego potężnego ducha, ale zachował wobec niego umysłową niezawisłość. To spowodowało J. Szujskiego do uwagi trafnej o tym

stosunku do Krasińskiego; że Jerzy Lubomirski nie był tylko echem Zygmunta Krasińskiego: ale jego dopełnieniem.

Nadmieniając tu o tem nie uprzedzam bynajmniej chronologicznego rozwoju niniejszego zarysu, bo znajomość i przyjaźń Jerzego z Zygmuntem datowała się od lat dziecięcych.

Obydwie te łątorośle rodów, do najwyższej arystokracji w Polsce należących, zetknęły się ze sobą w dzieciństwie w jednym z wiedeńskich zakładów edukacyjnych, gdzie bardzo wiele młodzieży arystokratycznej się kształciło.

Wiedeń był, dziwnym trafem, miejscem urodzenia (r. 1817) tego wytrwałego nieprzyjaciela Niemczyzny, i tam pobierał on pierwsze nauki pod kierownictwem jezuity, księdza Klinkowstroma i Francuza Karola Jourdain znanego z niektórych pism teozoficznych pod pseudonimem Saint Foi wydanych.

Pod wpływem takiego wychowania przejął się Jerzy od najmłodszych lat nie tylko głęboką religijnością, ale zarazem przywiązaniem do katolicyzmu i papizmu tak silnym, że gdy przybył na nauki do uniwersytetu pragskiego, dokonał dzieła nawrócenia na jednym z kolegów swoich, który już był uległ szerzącemu się wtedy racjonalizmowi niemieckiej filozofii.

Duch narodowy, rozbudzony już wtedy (w r. 1836) dosyć silnie w Czechach, nadał był uniwersytetowi pragskiemu szczególne znaczenie. Nauka była tam niemiecką, ale młodzież, a nawet wielu profesorów ożywiały gorący patriotyzm czeski. Znaczna część wyższej szlachty czeskiej poszła za tym prądem patriotycznym i dała ten naśladowania godny przykład, że nie szukała dla synów swoich światła za granicami ojczyzny, ale oddawała ich na naukę we własnym ojczystym gnieździe. Pragski uniwersytet stał się w skutek tego ogniskiem dla licznej dosyć, arystokratycznej młodzieży, nie tylko z samych Czech, ale i z innych krajów monarchii austriackiej.

Polska arystokracja, aczkolwiek nielicznie, była tam także zastąpioną, a w r. 1836 należeli do szeregu tej młodzieży Lubomirski Jerzy i Krasiński Zygmunt.

Polacy, przybyli z Wiednia, używali w konwersacji z pobratymcami albo niemieckiego albo francuskiego języka; nic więc dziwnego, że bywali poczytywani za Niemców. To się zdarzyło Lubomirskiemu, gdy się znalazł w szkole przypadkowo w jednej ławce obok młodego Czecha, którego znowu dla nazwiska niemieckiego (Sztulc) poczytywał Jerzy za Niemca. Położenie obydwóch młodych ludzi było poniekąd komiczne. Obaj nieprzyjaciele Niemców nie zbliżali się do siebie i poglądali na się z nieufnością dla tego, że jeden drugiego miał za Niemca. Rzecz została wkrótce wyjaśnioną. Jeden z kolegów, czeski patriota, podobno Fryderyk Thun, a jako z arystokratycznego domu

pochodzący, znajomy z Lubomirskim, wyprowadził sąsiadów szkolnych z błędu: przedstawił Lubomirskiemu w osobie Wacława Sztulca czeskiego patriotę, a Sztulcowi niepotrzebował więcej powiedzieć, jak tylko nazwisko, aby przemienić niechęć w najżywszą sympatyę. Odtąd zawiązała się między Sztulcem a Lubomirskim przyjaźń, która na obydwóch tych mężów kierunek przez całe życie wywarła stanowczy wpływ.

Lubomirski przejął się przez przyjaźń ze Sztulcem jako też innymi Czechami myślą federacyi słowiańskiej i zamiłowaniem do wszystkiego, co jest słowiańskie. Sztulc zaś, który pod wpływem naciskającej wówczas na cały świat wykształcony filozofii niemieckiej przechylał się mocno ku tak zwanemu racjonalizmowi i panteizmowi, został przez częste rozprawianie z Lubomirskim, który trwał znowu w przekonaniu o osobistości Boga i duszy, tak dalece zwyciężonym, że nie tylko odstąpił od racjonalizmu i panteizmu, ale został księdzem. Sztulc był do ostatnich chwil najpoufniejszym doradcą duchownym Lubomirskiego, a nawet często zjeżdżał umyślnie z Pragi do Przeworska dla wysłuchania go spowiedzi wielkanocnej.

Niedługo czasu wymagało to dzieło moralne, które miało tak doniosłe skutki dla obydwóch przyjaciół. Już w r. 1838 przeniósł się Lubomirski do Rzymu, gdzie mieszkała jego babka, wdowa po ks. Józefie Czartoryskim, stolniku litewskim. (Matką Jerzego była jedna z pięciu córek Józefa Czartoryskiego).

W Rzymie rozpoczęło się nowe życie dla Lubomirskiego. Znalazł on się zaraz otoczony gronem różnych znakomitych mężów. Oprócz Zygmunta Krasińskiego, z którym go przyjaźń i losu koleje od dzieciństwa łączyły i Augusta Cieszkowskiego, tych pierwszorzędnych znakomości polskich, spotkał się tam Jerzy z Ludwikiem Popielem i Franciszkiem Paszkowskim, Władysławem Zamojskim i Stanisławem Małachowskim, z Hieronimem Kajsiewiczem i Piotrem Semeneńką, Cezarem Platerem, Włodzimierzem Czackim, Rogierem Raczyńskim i i.

Pomimo a może właśnie dla tego, że Lubomirski należał do jednej z pierwszych arystokratycznych rodzin i że znał dokładnie zwyczaje tejże, bo był w nich wychowany, nie mógł się jego silny charakter pogodzić z temi zwyczajami, i z tego powodu uchodził on między tą arystokracją za dziwaka.

Hartowanie duszy i ciała uważał sobie Lubomirski zawsze za jeden z głównych celów wychowania siebie samego i zadań życia.

Wogóle sterem jego życia była religijność i surowa moralność.

Nie usuwał on się nigdy od życia publicznego, zwłaszcza tam, gdzie przewodniczyła myśl federacyi i zjednoczenia Słowiańszczyzny. To było powodem, że wybrany do owej tak

zwanej deputacyi, która po wybuchnięciu ruchu w r. 1848 została wysłaną do Wiednia celem wyjednania swobód dla Galicyi, udał on się z Wiednia na pierwszy zjazd słowiański do Pragi, brał udział w kongresie słowiańskim w Wroclawiu i w zgromadzeniu Lipy słowiańskiej w Pradze.

Udział w ruchu słowiańskim był powodem, że go stronnictwo reakcyjne, centralizacyjne, zaliczyło do rewolucjonistów, tem bardziej, że jako Polak był z góry pożytywany za zwolennika rewolucyi. Naraziło go to w Pradze po dwakroć na niebezpieczeństwo życia. Tuszcza prowokatorów napadła na hotel, w którym Lubomirski mieszkał wraz z innymi Polakami. Stronnictwo reakcyjne użyło tego za pretext do obsadzenia hotelu wojskiem rozjuszonem, które byłoby niezawodnie zrzuciło tam rzeź, gdyby temu niezapobiegł z jednej strony Fryderyk Thun, który tem wojskiem komenderował, a z drugiej Jerzy Lubomirski, który wystąpił w imieniu obłożonych w hotelu, jako parlamentarz. Obaj przyjaciele i szkolni koledzy uchronili mieszkańców hotelu od rzezi.

Lubomirski był wtedy powtórnie w niebezpieczeństwie, gdyż chciał przypadek, że wchodził w bramę hotelu położonego naprzeciw pałacu Windischgrätza, chcąc odwiedzić chorego Helcla, w chwili, kiedy z drugiego piętra tego samego hotelu padł strzał, który śmiertelnie ugodził księżnę Windischgrätzową. Rozjuszony żołdactwo rzuciło się ku hotelowi, mordowało i raniło kogo napotkało, i znowu Franciszek Thun uratował go tym tylko fortelem, że go kazał aresztować.

W tymże samym r. 1848 wybrany posłem na sejm wiedeński, należał Lubomirski do tego koła posłów polskich, które w kraju uważane było za wsteczne. Stanowili to koło Zygmunt Helcel, Alfred i Adam Potoccy, Kazimierz Dzieduszycki, dr. Machalski i dr. Kański.

Działalność Lubomirskiego na sejmie wiedeńskim usprawiedliwiała to zdanie o wsteczności, pomimo że wyznawał on głośno zasady postępowe.

Pocieszoną była z tego powodu sprzeczność, nie nowa zresztą w dziennikach wiedeńskich, których liberalizm idzie zawsze za prądem panującego wiatru politycznego. Jedno z tych pism, godne zupełnie stanąć obok dzisiejszej „Presse“ lub „Neue freie Presse“, pisze o Lubomirskim: „Książę i arystokrata z rodu (u Niemców jest ktoś, co nosi tytuł księcia, przynajmniej czemś więcej niż zwyczajnym człowiekiem), demokrata doktryner z dyletantyzmu i dla mody, marzy o wolności i tece ministerjalnej. Nie wiemy, której z tych dwóch pań da pierwszeństwo, zapewne młodszej.

„Jak na księcia, posiada on na wszelki wypadek wiele politycznego wykształcenia, dosyć biegły w słowie; jednakże tylko w tej ogólnikowej wymowie, błąkającej się między niebem a ziemią bez pewnej podstawy.

„Bawi on się bardzo w Egalité i kładzie wiele nacisku na swoją bluzę; jego uściśnienie ręki jest nacechowane łaskawością, a kolegalność z polskimi chłopami jest kokieterią w glansowanych rękawiczkach i zdradza zawsze bojarstwo. Szlachetne rysy, typ prawdziwie polski.“

Tak zcharakteryzował Lubomirskiego jeden z literatów wiedeńskich, który podobno wślad za innymi, po zbombardowaniu Wiednia przeszedł w służbę policyjną.

Nam się zdaje, że wiedeński publicysta pod jednym względem wyrządził krzywdę Lubomirskiemu: nie udawał on nigdy demokracy. Lubomirski był magnatem polskim, przejętym zasadą równości szlacheckiej; nie należał on do rzędu takich arystokratów, jak Windischgrätz, który twierdził, że „człowiek zaczyna się dopiero od barona,“ ale był on szlachcicem w całym znaczeniu tego słowa i pod tym względem był arystokratą, chociaż może bez porównania mniej wstecznym niż niejeden szlachetka.

Był on motorem postanowienia: aby się nie rzeknąć wynagrodzenia za pańszczyznę, czego też nawet najskrajniejsza demokracja polska bynajmniej nie wymagała, niemiecka zaś, a szczególnie biurokratyczna, prawie powszechnie. Był także Lubomirski i do końca swojego życia zwolennikiem świeckiej władzy papieża. Co jednak w owym czasie najbardziej ściągało Lubomirskiemu zarzut wsteczności, to głównie to, że był on przeciwnym węgierskiej rewolucyi i głosował w sejmie przeciwko dopuszczeniu deputacyi węgierskiej.

Lubomirski tłumaczył się z tego uciskiem, jakiego Słowianie od Węgrów doznają i koniecznością wyzwolenia Słowiańszczyzny z pod przewagi węgierskiej. Dla tego też był on zwolennikiem Jelaczycza i nie upatrywał w nim bynajmniej narzędzia reakcyi, owszem łądził się wraz ze wszystkimi Słowianami, że Jelaczycz jest oswobodzicielem Słowian. Tem boleśniejsem było jego rozczarowanie, gdy się przekonał, że to wojsko, które według jego zdania miało oswobodzić Słowian od panowania Węgrów, było przeznaczone na stłumienie swobody w całej monarchii bez względu na narodowość.

Spory i dysputy, jakie o to staczać musiał Lubomirski, fakta coraz bardziej bijące w oczy a przemawiające przeciwko jego zdaniu, cała ta walka, która może nie tylko zewnątrz ale i wewnątrz w jego własnej duszy się toczyła, doprowadziła go do takiego stopnia rozstroju umysłowego, że potrzeba było tylko pojedynczego zdarzenia na to, aby pomieścić zupełnie władze jego umysłu.

W dniu 6. października był Wiedeń faktycznie już obłożony przez wojsko, chociaż wielu się jeszcze łądziło, że wojsko wyszło z miasta tylko dla własnego bezpieczeństwa i że pozostaje tylko na obronnej stopie. W pierwszych dniach nie było też walki, ale było wielkie wzburzenie między ludem z jednej a wojskiem z dru-



Pomniki książąt Ostrogskich i Tarnowskich w Tarnowie. (Str. 373).

giej strony. Wzburzenie to doszło do najwyższego stopnia, gdy na jednym z przedmieść znaleziono trupa, na którym były ślady okropnego morderstwa, dokonanego przez żołnierzy. Trupa tego chciał lud wnieść do sali sejmowej; Lubomirski widział go, a zarazem słyszeć musiał tysiące wyrzutów i przekleństw, miotanych przeciw reakcyi, przeciw jenerałom prowadzącym wojsko na Węgrów, przeciw Jelaczczyzowi.

Nie wiemy, co czuł i co myślał wtedy Lubomirski, bo nie zdawał z tego nikomu sprawy, a zapewne nie umiał jej zdać sam sobie, ale sam skutek pozwala wnioskować o tem, co się działo w jego duszy.

Rozpacz go ogarnęła, pobiegł do bióra marszałka sejmu, do Smolki, który właśnie był wyszedł, aby lud uspokoić. Powracając do bióra zastał Smolka Lubomirskiego mierzącego do siebie z krucicy. Nie było innego sposobu zapobieżenia samobójstwu, jak chwycić Lubomirskiego za ręce; Smolka to uczynił, a gdy się Lubomirski z nim pasował, wypalił pistolet i kula poszła w powałę. Na huk strzału zajrzeli sekretarze sejmu, pracujący w sąsiednim pokoju, przez szklane drzwi do bióra Smolki, i zobaczyli go pasującego się z jakimś człowiekiem powalonym na ziemię, gdy bowiem Lubomirski się bronił, powalili się obaj na podłogę. Sekretarze zamiast pójść na ratunek, uciekli do sali sejmowej i narobili popłochu: że ktoś prezydenta chciał zastrzelić.

Tymczasem Lubomirski wyrwał się Smolce z rąk i chciał się rzucić z okna, Smolka zdołał temu przeszkodzić uchwyciwszy Lubomirskiego wpół, a gdy ten się wyrwał, powalił go Smolka na sofę i trzymał spodziewając się, że w końcu przecież ktoś przyjdzie na pomoc. Było to tem potrzebniejsze, ile że między ludem wzmagano się każdej chwili wzburzenie z powodu pogłoski o zabiciu prezydenta, który był wtedy najpopularniejszą i najpotężniejszą osobą w Wiedniu, a poniekąd nawet w monarchii, nazywano go też słusznie dyktatorem. Kilku posłów przybiegło do bióra Smolki w myśli ratowania jego życia. Tymczasem okazało się zupełnie co innego, ku wielkiemu wszystkich zadowoleniu. Wzięli Lubomirskiego w opiekę przywołani na żądanie Fischhof, jako lekarz, i krewni Lubomirskiego: Potocki, Rzewuski i inni. Szał go ominął, ale pozostało obłąkanie. Nikogo nie poznawał. Musiano Lubomirskiego różnemi bocznemi aliczkami wyprowadzić, aby się lud na niego nie rzucił w mniemaniu, że chciał zabić Smolkę.

Obłąkanie to chwilowe było tylko początkiem dłuższej choroby, a może wtedy już powstał zaród owej śmiertelnej choroby, której uległ w r. 1872.

Odzyskał on dawną trzeźwość umysłu i sprężystość, czego dał najlepsze dowody w walce dziesięcioletniej z rządem o kuratoryą zakładu Ossolińskich. Gdy bowiem w r. 1850 po śmierci ojca, księcia Henryka, objął kuratoryą należąca mu się dziedzicznie, odebrał mu ją rząd, pod pozorem, że nie dopełnił warunku przez Ossolińskiego w akcie fundacyjnym położonego: aby na Przeworsku ustanowić majorat.

Nagle, po blisko 20letnim istnieniu zakładu, ocknął się rząd z dopełnieniem tego warunku. Była to oczywista szykana, obliczona na to, aby wszystkie instytucje samoistne wziąć pod kierunek biórokracyi. Wszak to samo uczyniono z fundacją Skarbkowską.

Jerzy bronił się przeciw temu gwałtowi, jak mógł, podawał rekursa do ministeryum, do najwyższego trybunału i t. d. Wszystko było bezowocne. Użył jeszcze ostatniej drogi, t. j. ogłoszenia drukiem swoich rekursów i protestów, a oddawszy tak sprawę pod sąd publiczności, usunął się w zacisze domowe, ożenił się w r. 1854 z Cecylją, córką Andrzeja Zamojskiego, i nie przestawał pracować nad urządzeniem fideikomisu na Przeworsku, aby dostąpić na nowo kuratoryi.

Rok 1861 powołał go znowu na scenę polityczną, został wybrany posłem na sejm. Trzymał się tu Lubomirski stale swojej dawnej polityki, t. j. federacyjno-słowiańskiej, dla tego popierał wielce Rusinów, dla tego był zwolennikiem polityki Smolki, dla tego pozostał w sejmie w mniejszości i dla tego podobno złożył w końcu mandat.

Nie pozostał on wszakże bezczynnym. Osiągnął wreszcie przywrócenie kuratoryi zakładu Ossolińskich w r. 1870; rozpoczął bardzo odpowiednią i doniosłą działalność przez wydawanie biblii szarospatackiej, jako też kodeksu tynieckiego, oraz przez usilne starania o przemienienie krakowskiego naukowego towarzystwa w akademię umiejętności; i oto właśnie, gdy rozpoczął tak pożyteczną dla kraju czynność, kiedy się zdawało, że dopiero wszedł na tor właściwego sobie powołania, został powołany do innego życia.

Nie powiemy, jak napisali z przesadą inni w nekrologach o Jerzym Lubomirskim, że śmierć jego jest klęską i nieszczęściem dla kraju, ale już przez to samo poniósł zakład Ossolińskich wielką stratę, że podczas nieletności syna, zastępcy kuratora nie będą mieli tej niezależności i śmiałości w przedsięwzięciu wydawnictw naukowych, co miał Jerzy; wreszcie poniosło w nim stratę polityczne stronnictwo federacyjno-słowiańskie, które ma dopiero przyszłość przed sobą i musi się ściśle liczyć ze swojemi siłami.

K. WIDMAN.

BIANKA MALIGIERI.

POWIASTKA HISTORYCZNA Z NIEMIECKIEGO

LUDWIKI MÜHLBACH.

III.

Ofiara została spełniona, Bianka Maligieri zwała się już hrabiną Contarini, była małżonką Doży. Radość, z jaką Ludwik przyjął niespodziewane mianowanie swoje kapitanem, zapał, z jakim gotował się do zaszczytnej wyprawy przeciw niewiernym Turkom, — to była nagroda Bianki za bolesną ofiarę, którą poniosła. Wprawdzie i tę nagrodę nawet zamąciła radość, z jaką Ludwik przyjął wiadomość o blizkiem jej zaślubieniu z Dożą, z jaką życzył szczęścia jej i sobie, że serce jej wybrało nakoniec, że znalazła wreszcie męża, którego kochała. Ale ona miała tyle mocy nad sobą, że zdołała przytłumić jęk boleści, który wydierał się z jej serca, że mogła uśmiechać się i zapewnić Ludwika o swoim szczęściu. I w tem też przekonaniu pożegnał on ją z swobodnym i wesołym sercem, by udać się na okręt admiralski i objąć swoją służbę kapitańską.

Wreszcie odplynał, a nazajutrz po jego odjeździe odbyły się zaślubiny Bianki z hrabią Contarini. Było to ciche i skromne wesele, jak tego wymagała surowa ustawa wenecka. Zazdrosna bowiem rzeczpospolita czuwała nad tem, by Doża nie występował z książęcym blaskiem i przepychem, lecz skromnie i niepokaźnie jakby najuboższy jej obywatel.

Rzeczpospolita była księżną, a Doża tylko płatnym jej zastępcą. Dla tego nie śmiał on błyszczeć próżną wystawnością, lecz musiał zawsze pamiętać o tem, że jest tylko sługą swej potężnej władczyni.

Kto mu chciał składać hołd, jak księciu, dopuszczał się zdrady stanu wobec rzeczpospolitej i podpadał najsurowszym karom. Kto się poważył ukłęknać przed Dożą, tracił życie i w głębi Lagunów ginął za swoją zbrodnię. Nikt z rodziny Doży nie mógł piastować żadnego urzędu publicznego, a nawet na serca jego synów i córek rozciągała rzeczpospolita swoją władzę despotyczną, gdyż wyraźna ustawa zabraniała im zawierać związki małżeńskie poza granicami Wenecyi. Nawet nad ubiorem i wewnętrznym urządzeniem komnat rodziny Doży czuwała rzeczpospolita i krzywym patrzyła okiem, jeżeli synowie jego żyli zbytkwnie, a córki w świetnych występowały strojach.

Wyjątek w tym względzie stanowiła tylko małżonka Doży. Po niej wymagała rzeczpospolita, by występowała zawsze jak najświetniej; ona miała być niejako reprezentantką wiecznej piękności, wiecznej młodości Wenecyi, a oraz zwierciadłem jej wspaniałości.

Dla tego też nakazywała inna ustawa Dożom, zaślubiać tylko bogate Wenecyanki, ale niewolno im było oszczędzać i składać ich dochodów, ani też kupować za nie dóbr lub pałaców, lecz musieli wydawać je na cześć Wenecyi, wyprawiać festyny, fundować zakłady publiczne i zaopatrywać armią i flotę w to, czego im brakowało.

A nad dopełnieniem tych warunków czuwali owi trzej mężowie. Z końcem każdego miesiąca musiał Doża składać rachunki swoje obudwom adwogadorom, ażeby ich przekonać, że nic nie oszczędził, i że nie wydał mniej, niż miał dochodu.

Doża był niewolnikiem swojej godności, i przyszło też w końcu do tego, że nikt więcej nie chciał piastować tego niewolniczego urzędu. I Contarini wzbraniał się także. Jako gubernator Morei w usługach rzeczypospolitej był on mężem wolnym i znakomitym, jako Doża Wenecyi, jako księżę rzeczypospolitej, tylko bezwładnym, skrępowanym sługą. Contarini wiedział o tem, i dla tego też wzbraniał się wsadzić rogatą czapkę na dumną głowę swoją. Ale potrafiiono zmusić go do tego; wielka rada zagroziła mu, że go oskarży jako zdrajcę ojczyzny, a publiczne oskarżenie przez wielką radę znaczyło śmierć na rusztowaniu. Contarini zanadto kochał jeszcze życie, by miał nie dbać o nie, i dla tego przyjął godność Doży.

A gdy już był nim, obudziła się jego duma; ambicya szeptała mu ciągle: „Od ciebie zależy, odzyskać dawne prawa Dożów, rozerwać haniebne więzy niewoli!“ Do tego jednak potrzebował przedewszystkiem siły, na której mógłby się oprzeć, sprzymierzeńców, którzyby mu pomogli. Lud wenecki miał mu dostarczyć tej siły i być jego sprzymierzeńcem.

Ale do tego potrzeba było jeszcze drugiego sprzymierzeńca, by pozyskać lud dla niego, potrzeba było pieniędzy. Contarini nie był bogaty, szukał więc żony, któraby mu dostarczyła tego drugiego sprzymierzeńca, i znalazł ją w osobie Bianki Maligieri.

To było głównym powodem, że starał się o jej rękę; ale miłość zemściła się na nim, i zimna rachuba zamieniła się w sprawę serdeczną.

Doża kochał Biankę Maligieri, kochał ją namiętnie, z zazdrością i gniewem, z nienawiścią i bolem serca. Zachwycał się, gdy patrzył na nią, ale oraz szła go porywał, gdy spotkał zimne jej spojrzenie, i gdy na gorące jego przysięgi miłości odpowiadała z obojętną spokojnością. Nie mógł jej nigdy przebaczyć tego, iż przyjmując jego rękę powiedziała mu, że czyni to bez miłości; a przecież

ubiegał się codziennie nanowo o tę miłość, i śledząc okiem zazdrości każde jej spojrzenie, każdy wyraz, nienawidził i prześladował wszystkich tych, których Bianka zaszczycała swoją dobrocią i uprzejmością.

Ona zaś była zawsze spokojna, zawsze łagodna, ale jej uśmiech nie zdradzał najmniejszej wesołości, a jej spojrzenie było pełne smutku i żałoby. Contarini byłby chętnie oddał połowę życia za to, by widzieć jej oblicze jaśniejące radością, by oko jej choć raz spoczęło na nim z wyrazem miłości. Ale tygodnie mijały, a cicha posepność Bianki wcale się niezmniejszała.

Właśnie o tem myślał Doża, znajdując się teraz sam w swoim gabinecie; ale im więcej rozważał każde jej słowo, tem bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wszelkie starania jego o jej miłość są nadaremne.

„Wszystko na nic!“ — mruknął z cicha sam do siebie, — ona zimna jak głaz. Zawsze uprzejma, zawsze grzeczna, ale wszystko to nacechowane ową spokojnością bierną, która mówi wyraźnie: czynię to dla tego tylko, bo muszę. Ona mnie nie kocha. Mógłbym to znieść jeszcze i pogodzić się z moim losem; ale ona kocha innego, a to piekielna męczarnia! I ja nie znam nawet jego nazwiska, nie mogę temi rękami zgnieść i zniweczyć tego zabójcy mojego szczęścia. O, gdybym wiedział!“

Zastanowił się usłyszawszy jakiś szelest za drzwiami.

„Ktoś nadchodzi“ — mruknął. — „Cicho, uspokój się biedne serce.“

Drzwi się rozwarły, i wszedł paż w złocistym ubiorze.

— „Jej wysokość hrabina Contarini!“ — oznajmił głośno.

Doża pospieszył naprzeciw, by podać rękę swojej małżonce i odprowadzić ją do sofy.

— „To rzadkie, niespodziewane szczęście“ — rzekł, całując z tkliwością jej rękę. — „Nie często się to zdarza, by nadobna Bianka zaszczycała odwiedzinami swojego małżonka. A niestety lękać się muszę, że i dziś nie stało się to zapewne bez szczególnego powodu.“

— „Zgadliście signor“ — odrzekła z łagodnym uśmiechem. — „Przychodzę błagać was o łaskę.“

— „O łaskę! i dla kogoż to?“ — spytał żywo.

— „O łaskę dla biednej niewiasty, która właśnie z głośnym jękiem i płaczem przysłała do mnie błagać o miłosierdzie dla swego męża.“

Po licu Doży przemknął cień niezadowolenia.

— „A, zgaduję“ — rzekł ponuro — „żona rybaka, który wczoraj was obraził.“

— „Mnie obraził?“ — powtórzyła Bianka. — „Cóż on uczynił?“

— „Poważył się patrzeć na was, mówić do was, błagać was o pomoc.“

— „I to nazywacie obrażać!“ — zawołała Bianka zdziwiona. — „Czyż biedny lud wenecki nie śmie szukać po-

mocy u swego księcia, u swojej księżny? Czyż niepowinniście być jego ojcem? czyż ja, wasza małżonka, nie powinnam być matką wszystkich nieszczęśliwych?“

Doża pochwycił gwałtownie obie jej ręce i spojrzał jej w twarz ponurym, płomienistym wzrokiem.

— „Czyż jesteście wy moją małżonką?“ — spytał z przyciskiem.

— „Noszę imię wasze“ — odrzekła łagodnie.

— „Ale gdzież jest miłość, jaką winniście waszemu małżonkowi?“

— „Signor“ — odparła, odpowiadając na ponure spojrzenie jego wzrokiem pełnym dumnej spokojności. — „Signor, powiedziałam wam przecież przed ślubem naszym, iż was nie kocham.“

Doża ścisnął jeszcze bardziej jej ręce, a twarz jego błysnęła gniewem.

— „Powinniście mnie kochać!“ — krzyknął. — „Ja mam prawo do waszej miłości!“

Bianka podniosła się ze sofy i wyciągnęła ręce swoje z jego dłoni.

— „Miłość nie da się wymusić, i na rozkaz nie mogę wam oddać mego serca. Wiecie, że nie lękam się niczego, i że gniew wasz tylko bardziej jeszcze od was mnie oddala.“

Wymawiając te słowa, była cudownie piękna z swą majestatyczną spokojnością, z swoją dumną, pełną godności postawą. Contarini widział to, i wszystek gniew jego rozplynął się w żalu.

— „To prawda,“ — rzekł łagodnym, błagającym głosem — źle postąpiłem grożąc wam; ale wy przecież powinniście mieć dla mnie choć cokolwiek miłości, bo ja kocham was tak mocno, tak serdecznie!“

Bianka potrząsała zlekka głową.

— „To złudzenie, signor; wy mnie nie kochacie. Gdybyście mnie kochali, czyż moglibyście odmówić mojej prośbie? Signor, ja proszę was o życie i wolność biednego rybaka.“

— „Nie mogę was wysłuchać!“ — zawołał Doża burzliwie. — „Nie mogę ścierpieć, by taki niewolnik patrzył wam w twarz, by niepokoił was swojemi prośbami. Potrzeba temu żebractwu dać surowy przykład, by nie śmiało na przyszłość zbliżać się do was. Małżonka Doży jest świętością, do której pospólstwo zbliżać się niepowinno. Już samo podniesienie oczu na nią jest obrazą.“

— „Więc odmawiacie mi ulaskawienia tego biednego człowieka?“ — spytała Bianka błagającym głosem.

Doża przystąpił znów do niej i ujął jej rękę.

— „Wy chcecie tego, wam zależy na tem? Dobrze, posłuchajcież: Jedno słowo z ust waszych może wszystko zmienić; jedno słowo, a człowiek, za którym się wstawiacie, będzie wolnym.“

— „A to słowo?“ — spytała bez tchu.

— „Wymieńcie mi nazwisko tego, którego kochacie. Wymienicie, a rybak będzie wolnym; odmówicie, to w tej chwili jeszcze znajdzie grób w Lagunach.“

— „Nigdy!“ — zawołała gwałtownie. — „Żądaj odemnie, czego chcesz, uczynię to dla okupienia ludzkiego życia; ale jego nazwiska nie dowiesz się.“

— „Czy to ostatnie twoje słowo?“ — krzyknął tupiąc wściekle nogą.

— „Ostatnie“ — odrzekła spokojnie.

— „A wiesz ty, że mogę cię zmusić, byś je wymieniła?“

— „Mnie zmusić?“ — powtórzyła z pogardliwym uśmiechem. — „Możesz mnie zabić, ale nie zdołasz mnie zmusić, bym ci powiedziała, co na wieki zamilczeć pragnę.“

Doża zaryczał z wściekłości, lica jego pobladły, oczy błysnęły dzikim gniewem, a ręce jego jak żelazne kleszcze pochwyciły jej ramię.

— „O!“ — syknął przez zaciśnięte zęby — „są męczarnie, które zdołałyby zmusić cię do mówienia. Dotąd widziałas mnie tylko jako miłościwego pana twego, strzeż się, byś nie ujrzała mnie gniewnym władcą. Najgorętsza miłość zamienia się w nienawiść, jeżeli bywa wyszydzaną, i z radością napawa się mękami, jakie wymyśliła zemsta. Wy nie znacie jeszcze wszystkich kryjówek tego pałacu“ — dodał z złowrogim szeptem; — „jest tu także izba torturowa. Biada wam, signora, gdybyście kiedy musieli wejść do niej!“

— „Wy tu rozkazuje“ — odpowiedziała dumnie. — „A więc, korzystajcie z waszej władzy, zawleczcie mnie do waszej izby torturowej, przywołajcie waszych oprawców; ja nie powiem nic, nie wymienię jego nazwiska.“

— „Powinniście wymienić!“ — krzyczał wściekle, ciągle jeszcze ściskając jej rękę.

— „Nie chcę“ — odparła z dumą. — „A gdybym powiedziała, naczóżby wam się to przydało?“

— „Nacoby mi się przydało?“ — krzyczał z ustami drgającymi z wściekłości. — „Zamordowałbym nędznika, który się poważał kochać żonę Doży!“

— „Widzicie,“ — rzekła — „ja was znam; wiedziałam, że chcielibyście go zamordować. O, gdybym była was wprzód tak znała, gdybym była przeczuwała, że ten, którego kocham, mógłby być przez to narażony na niebezpieczeństwo, nie byłabym nigdy oddała wam mojej ręki.“

— „Milcz, nieszczęsna!“ — wrzasnął z największym oburzeniem. — „Nie drażnij mnie więcej! To niebezpieczna, jątrzyć szalonego coraz bardziej zimną spokojnością; niebezpieczna tygrysowi, którego głód doprowadził do rozpacz, pokazać żywność i znowu ją zabrać!“

— „Słusznie czynisz, porównując się z dzikim tygrysem, boś dziki i okrutny, jak tygrys“ — rzekła spokojnie, wskazując ręką swoje ramię, które Doża ciągle jeszcze

trzymał. — „Patrzcie na moje ramię! Wam się pewno zdaje, że jesteśmy już w waszej izbie torturowej. Wasze ręce tak je ścisnęły, że aż krwawa pręga nabiegła na niem.“

Contarini przerażony wypuścił jej ramię i jęknął głośno, ujrzawszy na niem krwawą pręgę.

— „Przebacz,“ — mruknął zawstydzony — „przebacz. Tyś królewska niewiasta. O Bianco, miej litość, wymień mi nazwisko tego, którego kochasz.“

— „Przenigdy!“ — zawołała dumnie i stanowczo.

W tej chwili rozwarły się drzwi spiesźnie, i wszedł lokaj Doży.

— „Posłaniec z floty!“ — oznajmił.

Bianka zadrzała. — „Z floty“ — rzekła z cicha do siebie. — „Wiadomość o nim!“

Oblicze Doży przybrało wnet swój zwykły wyraz surowej spokojności, i zwracając się z całą powagą do swej małżonki, zapytał:

— „Czy pozwolicie, signora, bym przyjął posłańca w waszej obecności?“

— „Wy tu jesteście panem;“ — odrzekła z lekkim ukłonem — „zróbcie, jak wam się podoba.“

Doża skinął ku drzwiom, i służący pospieszył wprowadzić oznajmionego posłańca.



Wszedł porucznik od marynarki, zbliżył się do Doży i ukląkł przed nim.

— „Cześć ci, mój księżę!“ — zawołał — „i dzięki za zaszczyt, że mogę pierwszy uwiadomić was o naszym szczęściu. Kandya jest naszą, Turcy pokonani.“

— „Kandya jest naszą!“ — zawołał Doża radośnie. — „Czy drogo okupiono zwycięstwo? Mów, czy wielu naszych zginęło?“

Niespokojność Bianki, i wzrok jej pełen oczekiwania zwrócony na porucznika, wyrażały to samo pytanie. Przystąpiła bliżej do Doży i z zapartym oddechem słuchała opowiadania oficera.

— „Nie wielu naszych zginęło“ — mówił on — „ale jeden jest między nimi, za którym wszyscy żałujemy, bo właśnie jemu zawdzięczamy nasze zwycięstwo; słuszny, królewskiej postawy młodzian, kapitan na okręcie admirałskim. Stałem tuż obok niego, gdy walka się rozpoczęła; szedł śmiało naprzód jak bohater, oko jego błyszczało, i z zapalem wołał: „Dalej bracia za mną, śmierć lub zwycięstwo!“ Waleczność jego zagrzewała wojsko. Śmierć lub zwycięstwo! wołano zewsząd. Turek bronił się odważnie i śmiało, ale wnet zahaczyłszy okręty i wpadł na ich pokłady; rozpacz dawała nieprzyjacielowi siły bohaterские, ale w nas obudzała nadzieję zwycięstwa. Wkrótce na największym okręcie bisurmańskim powiewał sztandar Wenecyi. Ów kapitan waleczny zatknął go tam, wołając: „Niech żyje Wenecya!“ — Ten okrzyk ożywił nowym zapalem nasze znużone już rotę. Nieprzyjaciel został pokonany, wiele okrętów jego zabrano lub zatopiono, kilka tylko statków zdołało umknąć na otwarte morze. My zaś z okrzykami radości zawinęliśmy do portu i wysiedli jako zwycięzcy na ląd oswobodzonej Kandyi.“

— „A ów młody bohater“ — spytał Doża, — „gdzie on? Dla czego nie przysłano mi go, żeby otrzymał moje podziękowanie?“

— „Mówiłem wam już książę, że poległ.“

— „Nie żyje?! — krzyknęła Bianka przerażona.

— „Zabrano go umierającego z okrętu“ — odpowiedział oficer. — „Trzymał jeszcze sztandar Wenecyi w zaciśniętej dłoni; zdawało się, że nawet w chwili zgonu nie chciał się rozstać z chorągwią, za którą przelał swoją krew serdeczną. Złożyliśmy go na wyspie w gościnnym domu u dobrych ludzi, ażeby się przekonali, czy ratunek nie byłby jeszcze możebnym. Nazajutrz zaś pospieszyliśmy z naszymi okrętami dalej, by ścigać nieprzyjaciela, który zwrócił się ku Morei. Mnie zaś, miłościwy panie, wysłał wasz admirał Foscarini do Wenecyi, ażeby wam zaniósł tę wiadomość.“

— „A ja nagrodzę ją, jak przystało Doży Wenecyi“ — rzekł Contarini, podając porucznikowi rękę, którą tenże z uszanowaniem do ust przycisnął. — „Teraz idź i użyj wczasu, którego pewnie potrzebujesz. Później każe cię znów przywołać.“

Porucznik skłonił się nisko i postępując wstecz zwrócił się ku drzwiom; ale gdy już miał brać za klamkę, powstała Bianka z pospiechem.

— „Proszę was na chwilę jeszcze!“ — zawołała. — „Jak się nazywał ów bohaterski młodzian, o którym opowiadaliście?“

— „Miłościwa księżno, nikt go nie znał i nikt nie wie, gdzie, jak się nazywa. Ale na jego błękitnej, srebrnymi

gwiazdami ozdobionej szarfi było wydziergane imię, i jeżeli się nie mylę, imię to było“ —

— „Ludwik?“ — krzyknęła z trwogą zapierającą oddech.

— „Tak jest, signora, takie było imię — odrzekł porucznik, i skłoniwszy się z największym uszanowaniem wyszedł z komnaty.

— „Ludwik nie żyje!“ — zawołała Bianka, padając jakby piorunem rażona na sofę. — „Nie mogę temu uwierzyć, to niepodobna! O Boże, dla czegoż i mnie nie zabiło to słowo? Ludwik nie żyje!“

Załamywała ręce, strumienie łez spływały po jej licach, okrytych śmiertelną bladością; siedziała jak posąg najokropniejszej boleści. Doża przystąpił do niej z wyrazem najtkliwszego współczucia i położył łagodnie rękę na jej głowie.

— „Uspokójcie się Bianco,“ — rzekł czule — „ukryjcie łzy wasze. Wenecya nie powinna ich widzieć, bo jesteście małżonką Doży Weneckiego, a przy nas zwycięstwo! Okażcie się godną waszego bohaterskiego brata.“

— „Mego brata!“ — zawołała boleśnie. — „On nie był moim bratem! On był dla mnie wszystkim, z nim utraciłam wszystko: przyjaciela, brata, kochanka.“

— „Co wy mówicie!“ — krzyknął Doża. — „On nie był waszym bratem?“

— „Nie, teraz możecie wiedzieć, on nie był moim bratem. Jego to kochałam całą mocą mej duszy; ażeby go zadowolnić i uszczęśliwić, poświęciłam własne życie, zostałam waszą małżonką. On chciał odjechać, serce prawie pękało mi z żalu, a przecież prosiłam was o stopień kapitana dla niego, ofiarując wam rękę za spełnienie tej prośby.“

— „Więc on to był, którego kochaliście, Ludwik!“ — rzekł Doża zadumany. — „Szczęście jego, że zginął, inaczej byłby to ciężko odpokutował.“

— „O tak, szczęśliwy on, że zginął“ — westchnęła Bianka. — „Ale biada mnie, że żyję, kiedy jego już nie ma!“

Zakryła twarz obiema rękoma i płakała głośno. Doża nie przerywał jej, lecz stojąc przed nią, spoglądał na nią posępny, prawie litościwym wzrokiem. Nagle umilkł jej płacz, odjęła ręce od twarzy i podniosła się z wolna ze sofy. Łzy stały jeszcze w jej oczach, a przecież promień natchnienia błyszczał na jej twarzy.

— „Signor Contarini“ — rzekła — „przyrzekliście mi przedtem, że ułaskawicie biednego rybaka, jeżeli wymienię wam nazwisko tego, którego kochała. Teraz je wymieniam. Ludwik był moją pierwszą, moją jedyną miłością. Signor, dotrzymajcie teraz swego słowa, powróćcie biednej kobiecie jej męża, kaźcie uwolnić rybaka.“

— „Uczynię to,“ — rzekł Doża łagodnie. — „Ludwik nie żyje, daję wam za to życie człowieka, za którym prosiliście.“

Bianka wzniosła łzawe oczy ku niebu, i składając ręce jak do modlitwy szepnęła z cicha:

— „O Ludwiku, to grobowa ofiara, którą ci składam, ofiara mojej miłości!“

IV.

Ludwik wyzdrowiał. Śmierć, która już była pochwyciła go w swe ramiona, może ulitowała się nad jego młodością, nad jego zapalem do życia, i odwróciła się znów od niego.

Ludwik wyzdrowiał, i od kilku dni już mógł opuszczać swoją cichą izdebkę, by w miłym ogródku, pod cieniem mirtowej altanki, oddechać z niewysłowioną rozkoszą ciepłym powietrzem wiosennym.

I gdy siedząc tak właśnie rozglądał się do koła, gdy zadumany śledził lotu ptaków, które podlatując z krzewów oliwnych i mirtowych wznosiły się ku niebu, lub gdy zwrócił oko na morze, które z całą wspaniałością i potęgą rozścielało się przed nim, zlewając na dalekim widnokregu sine fale swoje z błękitem nieba, budziło się w duszy jego uczucie najtkliwszej wdzięczności ku Bogu, a serce napępiała niewysłowiona radość życia, które zdawało się go witać całym swym urokiem i świeżością.

Wiele tygodni przepędził on na łożu boleści, wiele wycierpiał z powodu dwóch ran, otrzymanych w rękę i w głowę. Ale dzięki troskliwości, z jaką pielęgowali go szlachetni ludzie, zostały te rany zagojone i ustały wszelkie cierpienia. Nic więcej nie zatrzymywało go w Kandyi, i okrętem, który miał przybyć nazajutrz, zamierzał już powrócić do Wenecyi.

Gdy pomyślał o tem, zarumieniła się jakby promieniem jutrzeńki blada twarz jego, i rzekł z uśmiechem uszczęśliwienia: „Zobaczę znów Biankę; czy też oplakuje mnie ona, czy może zapomniała już o mnie w objęciach swojego dumnego małżonka?“

Jakaś dłoń dotknęła się jego ramienia, i łagodny głos zapytał:

— „Z kimże to rozmawiasz, mój synu?“

Ludwik obrócił się z uśmiechem do starca, który niepostrzeżony wszedł do altany i słyszał ostatnie jego słowa.

— „Rozmawiam z moją przeszłością i z moją przyszłością, ojcze“ — rzekł z wyrazem serdecznego wylania. — „Myślałem o siostrze, którą zostawiłem w Wenecyi, i pytałem siebie, czy za powrotem przyjmie mię z taką samą miłością, z jaką żegnała przy odjeździe. O mój ojcze, błoga to będzie chwila, gdy noga moja wstąpi znowu na ziemię wenecką, a że ta chwila dla mnie nadejdzie, wasze to dzieło, bo wam tylko zawdzięczam, że żyję.“

Starzec potrząsnął zlekka głową. Jego niebieskie oczy

spoczęły z wyrazem największej czułości na pięknej twarzy młodzieńca, a na ustach jego igrał uśmiech dobroci i życzliwości.

— „Mnie nic nie zawdzięczasz, mój synu“ — rzekł powolnym głosem. — „Ja nic innego nie mogłem zrobić dla ciebie, tylko modlić się. Życie swoje zawdzięczasz najprzód Bogu, a potem twej opiekunce.“

— „O tak, w istocie!“ — zawołał Ludwik — „ona jak anioł dobroci czuwała przy mojem łożu. Ale od czasu, jak mogę już wychodzić o własnych siłach, nie widziałem jej więcej. Dla czegoż unika mnie? Dla czego odwraca się teraz odemnie?“

— „Mój synu“ — rzekł starzec smutnie — „biedna Lidia jest znowu cierpiąca.“

— „Cierpiąca?“ — spytał Ludwik. — „Chora? To puśćcież mnie do niej, abym ją mógł pielęgnować, jak ona mnie pielęgnowała.“

I chciał się podnieść z siedzenia, ale starzec zatrzymał go.

— „Ona nie może przyjąć ciebie, mój synu“ — rzekł z cicha. — „Jej dusza jest chora, bo ją ciężki żal przytłacza, a w takim stanie ucieka od ludzi. Jestto dawne, głęboko zakorzenione cierpienie, a nawiedza ją wtedy, gdy jak ty rozmawia ze swoją przeszłością. Tylko że biedna nie może, jak ty, rozmawiać z przyszłością, bo nie ma żadnej przyszłości i nie może spodziewać się niczego, prócz śmierci.“

— „Więc ona jest nieszczęśliwą?“ — spytał Ludwik z wyrazem spólcucia.

— „Tak jest, bardzo nieszczęśliwą, i jej przeszłość rzuca ponury cień na jej teraźniejszość i na jej przyszłość.“

— „Dozwólcież mi poznać jej nieszczęście“ — rzekł Ludwik czule. — „Powiedźcie mi, co jest przyczyną jej smutku. Bóg widzi, że nie jest to próżna ciekawość. Mówiliście przecież sami, mój ojcze, że po Bogu jej zawdzięczam moje życie. Ona długie noce czuwała przy mojem łożu boleści, pielęgnowała mnie, jak rodzona matka, czyż nie słuszna przeto, abym podzielał jej cierpienie? Powiedźcie mi, co ją dręczy, a może znajdę jaki środek na to, ażeby ją pocieszyć w jej nieszczęściu.“

— „Smutna to historia“ — westchnął starzec. — „Ażeby cię jednak przekonać,“ mój synu, jak wielkie pokładam w tobie zaufanie, opowiem ci ją.“

Po tych słowach westchnął głęboko i wzniosł oczy pobożnie ku niebu. — „Cudowne są drogi pana“ — rzekł z cicha jakby do siebie. — „A my musimy iść niemi, i niewolno pytać nam, dla czego. Nieraz Bóg na pozór obsypuje grzesznika swojemi łaskami, a sprawiedliwego doświadcza swoim gniewem. Tak się stało z biedną Lidją. Opowiem ci to.“

I usiadłszy na ławce obok Ludwika, podał młodzieńcowi rękę, którą tenże serdecznie uściskał.

— „Mówiłem ci już“ — tak zaczął opowiadanie swoje — „że nie zawsze żyłem tutaj, jestem bowiem rodem z Lombardyi. W małej wiosce w pobliżu Padwy pełniłem obowiązki plebana, i żyłem tam spokojnie z moją małą gminą w towarzystwie mych kwiatów i ksiązek. Świat zewnętrzny mało mnie obchodził; rozmyślać o Bogu i wielbić Go w jego dziełach, w naturze i w ludziach, było całem szczęściem mojem. Aż oto pewnego razu późną już porą, — była to jasna noc letnia, a ja siedząc przed drzwiami mojej plebanii przyglądałem się niebu zasianemu gwiazdami — nadjeżdża jakiś powóz i zatrzymuje się przed moim domem. Wsiadło z niego dwóch panów i jedna dama, i zbliżyli się do mnie.“ — „Czy wy jesteście plebanem?“ — spytał jeden z nich, a gdy to potwierdził, mówił dalej: — „Musicie natychmiast zaprowadzić nas do kościoła.“ — „Po co?“ — spytałem. — „Ażeby nas zaślubić“ — odpowiedziano mi. Stałem wahając się, i nie wiedziałem, co począć. Wtem chwyciła mnie za rękę owa dama i mówi głosem anielskim: „O, błagam was, uczynicie, czego on żąda, a będę codziennie modlić się do Boga o wasze szczęście!“

— „I to była ta niewiasta, która mię pielęgnowała?“ — przerwał mu Ludwik.

— „Tak jest, to była ona“ — rzekł pleban zcichą kiwając głową. — „Ale posłuchaj dalej. Patrzyła na mnie wzrokiem tak błagającym, i nie wiem, czy to sprawił słodki dźwięk jej głosu, czy też wyraz miłości i trwogi na jej pięknej twarzy, dość, że nie miałem odwagi oprzeć się jej błaganiom, i zaprowadziłem ich do kościoła. W świątyni było ciemno; tylko wieczna lampa płonąła przed ołtarzem i księżyc świecił pełnym blaskiem przez wysokie okna łuczyste. Chciałem zapalić świece na ołtarzu, ale wyższy wzrostem mężczyzna, który widocznie był jej kochankiem, sprzeciwił się. — „Nie potrzeba“ — rzekł rozkazującym tonem — „usłyszymy was bez światła.“ — „Dobrze, więc chodźcie za mną“ — rzekłem. W milczeniu przeszliśmy przez kościół i przy mrocznym blasku lampy przystąpiłem do ołtarza. Ów pan wysoki ujął rękę dziewczyny, ukląkł z nią na stopniach ołtarza, i kilku płynącemi z głębi serca słowami połączyłem ich na wieki. Gdy oboje wyrzekli uroczyste „Tak“ i ceremonia się skończyła, rzuciła się młoda małżonka z głośnym łkaniem na piersi męża. — „Teraz z całym życiem mojem należę do ciebie!“ — zawołała — „teraz mogę kochać cię na wieki!“ W tej chwili oświecił błysk lampy jej twarz i ukazał mi najpiękniejsze rysy, jakie kiedykolwiek widziałem, tak pełne niewinności, miłości, rozrzewnienia i szczęścia, że ja sam nawet stałem jak oczarowany i byłbym wiecznie patrzył w to oblicze anielskie. Po tem zwrócili się do mnie, ażeby mi podziękować. On uczynił to z zimną grzecznością, ona dziękowała z uczuciem i słowami płynącemi z serca. Odprowadziłem ich z kościoła do powozu, który natych-

miast z nimi odjechał, i wkrótce zniknęli mi z oczu jak widzenie senne.“

— „Na Boga!“ — zawołał Ludwik, który słuchał z zartym oddechem — „to dziwne zdarzenie.“

— „O tak, bardzo dziwne“ — powtórzył pleban. — „I długo też rozmyślałem jeszcze o niem, i nieraz we śnie jeszcze zjawiała mi się nadobna postać tej kobiety, którą raz tylko widziałem, a nigdy już zapomnąć jej nie mogłem. Rok upłynął od tego czasu, gdy oto pewnego dnia rozwarły się z trzaskiem drzwi mego pokoju, i wpadła jakaś kobieta. — „Gdzie on? Gdzie on?“ — krzyczała głośno, spojrzawszy dzikim wzrokiem dokoła i padła bez zmysłów.“

— „I to ona była?“ — zapytał Ludwik.

Pleban milczał przez chwilę; w jego oczach, wzniesionych ku niebu, błyszczały dwie łzy wielkie. — „Raz tylko ją widziałem“ — ozwał się potem cichym głosem — „ale poznałem ją zaraz oczyma mego serca, i czułem się szczęśliwym, że znów przybyła do mnie. Zaniósłem ją na łóżko, nacierałem jej skronie trzeźwiącemi kroplami, i w końcu otworzyła oczy. — „Gdzie on? Gdzie on?“ — było znów pierwsze jej pytanie. Powtarzała je po całych godzinach nie mówiąc nic więcej. Była obłąkana. Ale niekiedy miewała przecież jasne chwile, i wtedy opowiedziała mi całe swe nieszczęście. Mąż opuścił ją, i nikt nie mógł jej powiedzieć, gdzie się podział.“

— „Opuścił ją“ — powtórzył Ludwik — „opuścił, chociaż ją zaślubił?“

— „Ona nie chciała być jego kochanką bez błogosławieństwa kościelnego i opierała się jego namiętności. Rok prawie przeżył z nią potem w cichym ustroniu wiejskiem, aż wreszcie pewnego poranku, gdy Lidia spała jeszcze, opuścił ją pokryjomu, nie zostawiwszy jej żadnej wiadomości, żadnego pożegnania. Szukała go wszędzie, i w rozpaczy przyszła także do mnie. Sądzę, że Bóg ją przywiódł do mnie, ażebym mógł pielęgnować ją w ciężkiej chorobie, w jaką teraz popadła. Czuwałem też nad nią z całą troskliwością, bo zawsze mi się zdawało, że ja jestem przyczyną jej nieszczęścia, i że powinienem najtroskliwszą opieką wynagrodzić jej to, co ucierpiała przez moją lekkomyślność. Była to długa i ciężka choroba, a gdy z niej wyzdrowiała, była tak wycieńczona i słaba, że nie mogła opuścić mego domu, i tak pozostaliśmy razem.“

— „Ale jakżeż się to stało, ojczy, żeście opuścili wasz kraj rodzinny?“

— „Lekarze sądzili, że zmiana miejsca pobytu i powietrza wpłyną zbawiennie na jej umysł. Złożyłem tedy mój urząd pasterski, sprzedałem moję skromną posiadłość i przyjechałem tu do Kandyi, gdzie osiadło dwóch braci mojego ojca.“

— „Jesteście szlachetnym mężem, ojczy!“ — zawołał Ludwik przyciskając z uszanowaniem do ust rękę starca.

— „Spełniłem tylko mój obowiązek“ — odrzekł pleban łagodne — „Bóg przysłał ją do mnie, jego woła było, ażebym czuwał nad nią jak brat, jak wierny przyjaciel. Tak przeżyliśmy tu prawie dwadzieścia lat w samotnem zaciszu. I dzięki Wszechmocnemu, moja biedna Lidia wyzdrowiała prawie całkiem z swego obłąkania. Wprawdzie jest zawsze smutna, i czasem, gdy dozna gwałtownego wzruszenia, zamracza się jej umysł, ale zresztą bywa po całych tygodniach a nawet miesiącach zupełnie przytomna, i wtedy rozrzewniającym jest widok, jak się stara być wesołą i ryzmowną. Twoje przybycie było nadzwyczajnym

wypadkiem w naszym cichem życiu i sprawiło też wielkie wrażenie na Lidii. Gdy cię ujrziała po raz pierwszy, krzyknęła głośno, potem rozplakała się rzewnie i nie odpowiadała na żadne pytanie. Z niezmordowaną troskliwością czuwała przy twojem łożu, odmawiając sobie wszelkiego wypoczynku. Śledziłem ją często, kiedy ty spałeś, a ona sądziła, że i ja zasnąłem; widziałem wtedy, jak badawczo przyglądała się Tobie, a potem słyszałem płacz i ciche łkanie. Ale cicho, ona nadchodzi!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pomniki książąt Ostrogskich i Tarnowskich w Tarnowie.

(Obacz rycinę na str. 365.)

Jedną z największych ozdób kościoła katedralnego w Tarnowie są pomniki księcia Konstantego Ostrogskiego (1612), żony jego Zuzanny Sereczianki (1596), hetmana Tarnowskiego (1561), oraz syna jego Krzysztofa (1567). Pomnik Ostrogskich, co do swej wielkości i wspaniałości, nie byłby za małym nawet do rzymskiej bazyliki św. Piotra, a w piękności nie ustępuje słynnym swego wieku utworom. Znakomite to jest dzieło stylu odrodzenia, w całym tego słowa znaczeniu. Grobowiec Tarnowskich nosi w budowie swej piętno skażonego już renesansu, a przecież wydałby się jeszcze pięknym, gdyby nie stał naprzeciw monumentu księcia Konstantego, który już wszelkie zalety pochłonął w siebie, jaśniejąc niemi niby blaskiem ognia, co ani porównać nie pozwala swej mocy z połyskiem choćby najpiękniejszego kamienia. Pomnik Ostrogskich świetny i kompozycją i sztuką wykonania. Książę Konstanty z żoną występują na nim z całą pompą i godnością; przecież cała ta ziemkość ustępuje w grobowcu najgłówniejszej jego myśli: kierunkowi religijnemu. Środek pomnika i nacisku kompozycji mierzy w punkt, gdzie przed ślicznym krucyfikssem na pysznej trumnie kłęczą księżstwo. Symbole ich wielkości otaczają tylko, zdobią, podnoszą uczucie religijne, rozlane w postaciach kłęczących, wskazując, iż człowiek tak możny na ziemi, tylko pokorę i modlitwę wnosi do świątyni, chcąc się niemi w pamięci potomnych zalecić, a gwiazdą wiary przeszłość swoją i czas swój przed następcami oświecić. Zwykle duma stawia pomniki; tu artysta i sobie i zmarłemu wystawił grobowiec, jakby z wieńca najwytworniejszych cnót, bo z wielkości i pokory, męstwa i modlitwy uwity.

Acz panegiryczne słowa po śmierci księżstwa wryto na tablicach, przecież grobowiec ten poczęto stawiać za

życia księcia Konstantego, jeszcze przed skonem jego małżonki, a zatem dobrze w XVI. stuleciu; skończono zaś roku 1620.

Napis na nim dowodzi, iż go wykonał Jan Pfister z Wrocławia. Pomnik Tarnowskich wyrzeźbił Marya Palavini, a Jan Paneczek w połowie XVIII. stulecia 10 lat poświęcił na jego restauracyą. Przybywają więc z imionami temi nowe postacie rzeźbiarzy u nas goszczących, które jak ów Jan Michałowicz z Urzędowa i Józef Canellini, na badania bliższe ich rodu i życia czekają.

Patrząc na grobowiec książąt Ostrogskich, przychodzi myśl, dla czego ten, co go utworzył, i ten, co milionem pracę całego życia artysty zapłacił, nie pomyśleli o kościele dla pomnika, ale w najniekorzystniejszym dla widza ustawili go świetle. Monument ten wysoki 22 łokci wied., szeroki 12, ogromem już swoim nasuwa wykrzyk podziwu: co to za sumy wydawano dawniej na zapłacenie artysty, dla kościoła, na fundacye i grobowce!

Pomnik Tarnowskiego Jana i Krzysztofa przedstawia ich obu leżących na grobowcu, otoczonych jakby aureolą dziejów, wystawieniem bitew, w których mieli udział; hetmani Ostrogscy modlą się na grobowcu i korzą, a Tarnowscy odpoczywają tylko w kościele po trudach żywota. Twórca pomnika Ostrogskich miał w myśli, że z wielkości ziemskiej po promieniu modlitwy droga do nieba, i to wyraził w pomniku. Palavini zostawił swoich Tarnowskich na ziemi wśród tryumfów, choć wiedział, że to grobowiec do kościoła. Monument Ostrogskich oryginalny, wybrany z tyśiąca; Tarnowskich wzniesiony zwykłym stylem i gustem XVII. stulecia; wielkość tylko hetmana Tarnowskiego dodaje uroku temu utworowi sztuki rzeźbiarskiej.

ORSZA.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 24 września 1872.

Obchód Malborski. — Nadzieja i oczekiwania jesienne. — Inwazyja czarnoksiężników. — Nowe sztuki na scenie. — Lech Nowakowski †. — Otwarcie kursów w Towarzystwie muzycznym. — „Stańczyk“ Matejki. — Krakowski „Dziennik mód dla Polek“. — Poezye „El-yego.“)

Miesiąc ubiegający pamiętny będzie w dziejach cywilizacji obchodem, jaki urządziło w Malborgu krzyżactwo XIX. stulecia, czcąc setną rocznicę grabieży dokonanej na Polsce, przez zagarnięcie pod berło hołdowników Rzeczypospolitej integralnych jej z ducha i formy części, mianowicie: Prus polskich. Ufni w sprawiedliwość, wiecześnie przenikającą ustrój ludzkości, zastrzegamy się wobec przyszłości co do następstw i skutków obchodu Malborskiego, przyłączając się do protestu założonego przez opinią całego kraju, a we wszystkich dziennikach ogłoszonego w rocznicę zbrodni przedwiekowej.

* * *

Wrzesień to jakby przedednie owej pory, która w uznaniu powszechnem uchodzi za najbardziej sprzyjającą pracy umysłowej i w ogóle wszelkim objawom życia intelektualnego. Ileż nadziei i oczekiwań wiąże się z tą porą! Księgarze przysposobili już obfite zapasy foliałów na „długie wieczory;“ z tegoż samego tytułu otwierają się znów spusty wydawnictw i nowe występują czasopisma, nowi szermierze do harców z apatyą powszechną; — układają skrzętnie repertoarze dyrekcje teatrów i oper, muzycy o koncertach myślą, świat naukowy o odczytach... Słowem: „nudzić się“ w długie, słotne wieczory jesienne i zimowe nie pozwolimy już dziś nikomu, byle tylko zechciał korzystać z arsenału, jaki tu gromadzimy na kampanią z tą ciemną i skostniałą potęgą, co się rozciąga od wrześniowego do marcowego zrównania dnia z nocą.

Z nadziei i oczekiwań czegoś lepszego, przyszłego, i niniejsza się składa kronika. Znać już wprawdzie ruch pewien w księgarniach, ożywiają się widowiska teatralne, napływ młodzieży do szkół wszelkiego rodzaju ogromny w niebywałym stopniu; treści jednak kronikarskiej nie wiele przedstawia obecne życie tutejsze. Sprawy politycznej natury więcej niż kiedy ostatnimi czasy zajmowały umysł; mieliśmy wybory poselskie, więc zgromadzenia przedwyborcze i t. p.; gdzie jednak opinia publiczna tak jest bladą i nieustaloną jak u nas, tam i chwile tego rodzaju ożywiają może tylko pojedynczych lub niewielkie kółko publicystów z fachu, nie przenikając ogółu żywotnością swoją.

Więcej zapewne, niż sprawa wyboru posła na sejm, zajmowały publiczność lwowską, niestety! — popisy rozmaitych kuglarzy, vulgo „doktorów wyższej magii,“ którzy jakby na wyścigi zbiegli się tutaj naraz z całego świata! Böning, Melides, „Chavalier dr. Epstein“ — oto sławni mężowie, co znachodzili tu temi czasy tysiące widzów. Wydziwić się tylko nie można, że komitet, kierujący sceną, jarmarcznych sztuk-

mistrzom tym odstępował wieczory w teatrze, i że poważne zkład inąd dzienniki dawały się użyć do rozgłaszania reklamy dla tych „doktorów!“ Pojmujemy dobrze, że „sztuki Melidesów i Epsteinów“ mogą być bardzo miłą dla publiczności rozrywką, i że najpoważniejszy nawet człowiek z zajęciem patrzeć będzie na podobne produkcje zręczności; z tem wszystkiem jednak w żaden sposób nie pogodzimy się z szanownym komitetem teatralnym, gdyż scenę, jako przybytek sztuki, uważamy za miejsce poświęcone słowem do podniosłych tylko wrażeń. Przypuszczając kuglarstwo tam, gdzie widz szukać powinien piękna i prawdy życiowej, w pojęciu tegoż widza stawia się sztukę w jednym rzędzie z kuglarstwem. Raczy o tem szanowny komitet teatralny pamiętać na przyszłość.

Licznej naszej trupie teatralnej świeże znów przybyły siły w kilku młodych, inteligentnych artystach, mianowicie: w pannie Urbanowiczówniej, grywającej rolę naiwnych dziewczątek, i w panach Zboińskim i Fiszerze, wszystkich ze sceny krakowskiej, gdzie posiadali uznanie i sympatyje publiczności.

Tym sposobem uzupełnione towarzystwo sceniczne przystąpić może do wykonywania najtrudniejszych utworów dramatycznych, mianowicie zaś sztuk historycznych, wymagających zazwyczaj znacznej liczby artystów. W najbliższym czasie staną też na scenie: „Król Jan“, dramat Szekspira, na benefis p. Ładnowskiego, tudzież „Elekcyja króla Michała“, komedya historyczna B. Komorowskiego, na benefis p. Woleńskiego; później zaś utwory Szekspirowskie: „Sen nocy letniej,“ „Król Lir“ i „Wesołe kobiety Windsoru.“ Wkrótce spodziewamy się ujrzeć na scenie „Balladynę“ Słowackiego, do której nowo zaangażowany dekorator, p. Fabiański, maluje dekoracje osobne, jakich zwłaszcza fantastyczna, czarodziejska część „Balladyny“ wymaga nieodbitie.

Wielką stratę poniosła scena polska, a w pierwszym rzędzie lwowska, przez zgon Lecha Nowakowskiego w dniu 4. b. m. Tłumnie odprowadzająca do grobu zwłoki artysty publiczności lwowska, zaledwie swym udziałem dała miarę tego, czem w istocie ś. p. Lech był dla jej sceny. Nad świeżą tą mogiłą powiemy tylko, że zmarły całem swem sercem gorącym kochał Polskę i sztukę swoją, a śmierć z nienacka prawie zabrała nam go w chwili, kiedy najwięcej mógł być stać się użytecznym, bo w sile wieku, lat niespełna 40 liczącego. Nic smutniejszego jak taki przedwczesny grób...

Z dniem 1 października rozpoczyna Towarzystwo muzyczne kursy swoje. Pożądanem byłoby, ażeby młodzież nasza jak najliczniej przystąpiła do nauki, zwłaszcza śpiewu choralnego, udzielanego w Towarzystwie bezpłatnie. Dotychczas nie mamy prawie chórów, bez których jednak obyć się nie może żadna większa produkcja muzyczna. Wkrótce odbędzie się doroczne walne zgromadzenie członków Towarzystwa, które zapewne gorliwie zajmie się ułożeniem skutecznych sposobów podniesienia takowego. Należałoby pokolatać do sejmu o środki ku rozszerzeniu szkoły muzycznej; mianowicie też wyjść powinna z łona Towarzystwa inicjatywa w sprawie zaprowadzenia w szkołach ludowych, miejskich i średnich obowiązkowej nauki śpiewu.

Wystawa obrazów zamknięta została d. 8 b. m. Przez ostatnich dni kilka można było oglądać na niej jedną z dawniejszych kompozycji Matejki: „Stańczyka“. Znawcy dostrzegają nadzwyczajnych zalet w kompozycji tego obrazu, a znajdują się nawet tacy, którzy pod względem harmonii szczegółów i w ogóle całości estetycznej stawiają „Stańczyka“ nad wszystkie kompozycje krakowskiego mistrza. W każdym razie znać w tym obrazie ową jedność pomysłu z duszą artysty, co utworom sztuki nadaje skończoność; znać, że artysta *con amore* malował tego trefnisia, myśliciela, że z jego usposobienia wytrysły tony i linie składające idealnego „Stańczyka.“ — Pożegnawszy wystawę, winniśmy szczerze podziękować komitetowi takowej za staranność, jaką odznaczył się w jej urządzeniu, nie zaniedbując nic, coby do jej uświetnienia przyczynić się mogło, zwłaszcza też za daną nam sposobność poznania dwu znakomych obrazów Matejki.

Pojawił się już pierwszy numer „Dziennika mód dla Polek.“ którego wydawnictwo podjął, jak już donieśliśmy, księgarz krakowski p. Juliusz Wildt, powierzwszy redakcją znanemu z licznych prac literackich Władysławowi Sabowskiemu. Z pierwszego już numeru widać, że „Dziennik mód“ posiada wszelkie warunki po temu, ażeby z rąk pań naszych wyrugować wszelkie niemieckie i francuskie bazy. Obok wielkiej obfitości pięknych w życiu i dokładnych „opisów mód, w części swej literackiej „Dziennik mód“ nie ustępuje niczem najlepszym naszym pismom wyłącznie literackim. Ani wątpić też, że od razu zdobędzie sobie uznanie pań naszych.

Nowe wydanie poezji El-yego w dwu tomach opuściło właśnie prasy krakowskie. Szlachetne myśli i uczucia ubrane w śliczną szatę wierszową zapełniają owe dwie książeczki. Zostawiając tedy bliższe ocenienie artystycznego talentu i tendencji poety właściwej krytyce, polecamy poezje jego czytelnikom naszym w przeświadczeniu, że jeśli kto w ogóle zdolny jest zrehabilitować wobec nich liryczną muzę polską, tak bardzo ostatnimi czasy nadużywaną, to utwory El-yego.

B. K.

Poznań, we wrześniu 1872.

(Korespondencje z Poznańskiego i ich zasługa. — Wydawnictwa książkowe: O Mazurach, dra Kętrzyńskiego. Z życia awanturnika, powieść J. I. Kraszewskiego. Teorye polityczne w XVI. wieku, dra. Olendzkiego. Panteon wiedzy ludzkiej, Br. Trentowskiego. — Uwagi o teatrze krakowskim.)

Niemaló już tygodni ubiegło od czasu ostatniej korespondencji mojej. W tym czasie zaszedł niejedyn wypadek, godny zająć miejsce w kronice z życia umysłowego miasta Poznania, lecz ubiegli mnie już dawno w zapisywaniu tych zdarzeń korespondenci ztąd do różnych polskich czasopism.

Jeśli się nie mylę, pierwsza Strzecha dała początek umieszczania w swych łamach korespondencji artystyczno-literackich z miasta naszego, i za jej dopiero przykładem poszły inne pisma; bo dotąd mieliśmy tylko listy polityczno-religijno polemicznej treści, pisywane do Czasu z Poznania, a raczej z Jurkowa, i korespondencje nadsyłane do Tygodnika ilustrowanego raz w roku, jak to mówią, około Wielkanocy.

Ostatni korespondent tak mało pamiętał o swych zobowiązaniach, że mu się aż redakcja często w puszcze do listów przypominać musiała. Mieszkańcy innych dzielnic Polski wnosili ztąd oczywiście, że Wielkopolska nie nastęrcza wcale kronikarzowi materyału, słowem, że już świat u nas deskami zabity. Ostatniemi czasy przekonano się jednak dowodnie, że tak bynajmniej nie jest, a ja z mej strony dodać sobie pozwolę, że gdyby szanowni korespondenci zechcieli, toby zamiast rozpisywać się szeroko i długo, jak to czynią niektórzy, o początku i rozwoju niektórych instytucyj poznańskich, znaleźli dość ciekawych i ważnych szczegółów z bieżącej chwili.

Nie można przecież zaprzeczyć, że korespondencje te mimo wszelkich niedostatków swoich, mimo zbytecznej niekiedy parcjalności, braku miary w optymizmie lub pesymizmie, przyczyniają się niepomierne do obudzania Wielkopolan z drzémki bezczynności, Koroniarzom zaś i Galicyanom dają niejaki wyobrażenie o Poznańskim. Rzecz to nadzwyczaj ważna dla społeczeństwa naszego, rozdzielonego trzema kordonami i wtłoczonego w trzy całkiem oddzielne organizmy. Królestwo szczególnie, do którego wszystkim niemal czasopismom i większej części książek, wydawanych w dwóch innych dzielnicach, wstęp zamknięty, jedynie z tych luźnych wiadomości urabiać sobie może pojęcie o doli współbraci, skazanych na pędzenie pod innym berłem dni sierocych.

Z tych więc przyczyn nie podzielam oburzenia, z jakim n. p. pewne pisma tutejsze odzywały się o kronikach poznańskich, umieszczanych w Kraju. Nie przeczę, że sposób pisanja korespondenta jest może zbyt drastyczny, zbyt osobistości się czepiający i surowo rzeczy oceniający, przyznać wszakże trzeba, że korespondent niepomału się przysłużył naszym sprawom publicznym, dotykając najżywoźniejszych kwestyj i wytykając nieporadność i lekkomyślność osobistości stojących u steru. Nie ulega bowiem wątpliwości, że dyrekcyja Towarzystwa oświaty ludowej, ożywiona niezawodnie jak najlepszymi chęciami, obrała wcale niepraktyczne drogi działania, i że rada nadzorcza spółki teatralnej, nie wątpię, że także w najlepszej myśli, zakupiła grunt na budowę teatru zgoła niestosowny.

Bacznemu spostrzegaczowi narodych naszych właściwości pod trzema różnemi rządami, nasuwają się w tym względzie nader ciekawe uwagi. I tak podczas gdy w Warszawie toczą zwykle pisma w kwestjach spornych poważną dyskusyą, o ile na to pozwala cenzura, podczas gdy w Galicyi prasa przyzwyczajona do gwałtowności w polemice, nie zważając na przywoitą miarę, obrzuca błotem wszystko, co jej staje w drodze, i zaczynając walkę o zasady, kończy zwykle osobistemi wycieczkami: — u nas tymczasem poza sporami o ultramontanizm, masoneryą i t. p. napotkasz w kwestjach najwyższej wagi grobowe milczenie. Jeden Tygodnik Wielkopolski, pismo pod wielu względami wzorowo prowadzone, porusza od czasu do czasu jakąś ważną sprawę, lecz głos jego podobnym jest do głosu wołającego na puszczy.

Z wydawnictw książkowych ukazało się w ostatnich tygodniach kilka odbitek, a mianowicie: O Mazurach, dra Wojciecha Kętrzyńskiego; Z życia awanturnika, powieść J. I. Kraszewskiego i Teorye polityczne w XVI. wieku, dra.

W. M. Olendzkiego. Praca p. Kętrzyńskiego, znanego zaszczytnie autora wielu rozpraw historycznych, z pomiędzy których dzieło napisane po niemieku p. n. *Die Lygier, ein Beitrag zur Urgeschichte der Westlaven und Germanen*, zrobiło mu sławę w świecie uczonym, napisana treściwie i przystępnie, podaje wiele cennych szczegółów z życia tego ludku, o którym tak mało dotąd wiedzieliśmy, a który jest przeciwieństwem krwi z krwi i kości z kości naszych.

Nowa powieść niewyczerpanego naszego powieściopisarza, który po kilkudziesięciu latach zadziwiającej twórczości zasypuje nas jeszcze swemi płodami, czyta się równie ciekawie, jak dawniejsze jego utwory. Bohater powieści, Teodor Mirmiński, grzeszy wprawdzie zupełnym brakiem energii, intryga zasadza się głównie na wątlej siatce przypadkowości, lecz zaparcie się i cierpliwość, z jaką p. Teodor przez dwa z górą lata oddaje się cichej i żmudnej pracy ogrodnika, godzi nas z nim, a pomyślnie i pełne prawdy rozwiązanie dobre na czytelniku sprawia wrażenie. Brak wykończenia i harmonijnego powiązania pojedynczych ustępów wytłumaczyć należy niezwyklej płodnością pisarza, którego użyteczność i zasługi wtedy dopiero należy cenić się nauczymy, gdy go nam zabraknie... Pewne lekceważenie, z jakim ostatnimi zwłaszcza czasy odzywa się o Kraszewskim krytyka, smutne jej samej daje świadectwo, bo dowodzi, że niezdolna uznać bezprzykładnej zasługi i niestrudzonej pracowitości ojca powieści obyczajowej w Polsce. Surowe arystarchy, wołające bez ustanku na zbytęcną produktywność Kraszewskiego, niech baczą na to, że nie nagany, lecz uznania godna wytrwałość tego posiwałego na ojczyźnej niwie pracownika, co czując w piersiach zapal młodzieńczy i siłę twórczą, po półwiekowych niemal trudach, zamiast spocząć na dobrze zasłużonych laurach, przoduje dotąd szczupłym u nas szeregiem ludzi piórem służących publicznej sprawie.

Teorye polityczne są pierwszym tego rodzaju w literaturze naszej, na wielką skalę zakreślonym dziełem, odznaczającym się zarówno starannością układu i jędrnością stylu, jak samodzielnością sądu i ogromem erudycyi. Autor w króciuchnej przedmowie zapowiada wydanie z kolei Teoryj XVII. i XVIII. wieku. Jeśli rzecz ta istotnie przyjdzie do skutku, zasługa p. Olendzkiego będzie ogromną. Wobec płytkości dzisiejszej literatury, wobec prac rzemieślniczych, dokonywanych po większej części dla chleba, dzieło o tak szerokim planie, z tak benedyktyńską cierpliwością i z takim talentem napisane, jest jakby oazą na pustyni, bo dowodzi, że i młodsze pokolenie piszących umie się zdobyć na poważne, długoletnie studia. Kreśląc te słowa serdecznego uznania pracy autora, nie wątpimy, że kompetentniejsze od naszego pióro, w obszerniejszym i umiejętniejszym rozbiórce odda hołd jego zasłudze. Gdyby się dzieło podobne ukazało za granicą, pisałiby o niem wszystkie naukowe i literackie czasopisma.

Zasłużony nakładca, p. J. K. Żupański, zapowiada wydanie pośmiertnego dzieła znakomitego filozofa, Trentowskiego, p. t. *Panteon wiedzy ludzkiej*. Płód ten długoletniej pracy zmarłego myśliciela, wedle ocenienia Libelta, umieszczonego przed kilku laty w *Dzienniku Pozn.*, ma wysoką wartość pod względem naukowym, i tylko wielkie koszta na-

kładu wstrzymywały dotąd p. Żupańskiego od przystąpienia do dzieła. Obecnie ogłasza, że rozpocznie druk pierwszego zeszytu niebawem, skoro się znajdzie 300 prenumeratorów, a żywym niepłonną nadzieję, iż nędzna cyfra wkrótce się dopełni mimo całego książko-wstrętu, panującego równie u nas jak w Galicyi.

Smutny to wszakże objaw, że pewien organ, mianujący się *katexochen* katolickim, czytelników swoich, złożonych z samych księży, odstręcza od czytania tak poważnego i pouczającego dzieła, z powodu nieprawowierności autora i wielkiej zbrodni, jakiej się dopuszcza, pisząc między innymi o niebie i o piekle, o czem katechizmowi tylko nauczać wolno...

Przed kilku już tygodniami opuścił nas teatr krakowski, który się na udział publiczności poznańskiej bynajmniej uskarżać nie może. Na ostatnich zwłaszcza przedstawieniach, podczas gościnnych występów pana Królikowskiego, którego genialną grą zachwycali się nawet niemieckie pisma tutejsze, teatr był przepelniony w najdosłowniejszem znaczeniu tego wyrazu, a wiele osób mimo to nie dostało już biletów. Jestto najlepszym dowodem, że stały teatr w Poznaniu utrzymać się może, skoro takiego powodzenia doznał w porze letniej teatr krakowski, po utracie p. Bolesława Ładnowskiego nie mający wcale artysty odpowiedniego do ról kochanków. Podtrzymują go bez wątpienia dzielnie p. Rychter, pani Hoffmann i p. Benda, lecz nie zasługuje on bynajmniej na tak szumne pochwały, jakimi brzmią pewne, pro domo sua pisywane korespondencye do dzienników warszawskich. Dość powiedzieć, że ich autorem jest jedna i ta sama osobistość, a mianowicie autor recenzji teatralnych w *Kuryerze Pozn.*, który nieustannie wynosił zasługi swoje, chciałem mówić dyrektora teatru krakowskiego, i rozplýwał się w ostatnich dytyrambach nad niezrównaną grą pewnych protegowanych przez siebie artystek...

Bądź co bądź Poznań poczuwa się do serdecznej wdzięczności dla teatru krakowskiego za odwiedziny, i tęskni za chwilą, gdy już stały teatr mieć będzie. Oczekiwania nasze spełnić się mają podobno na zimę, i dyrekcją objąć ma p. Koźmian. Oby tylko kierowanie równocześnie dwoma teatrami nie było nad siły jednego, acz nader zdolnego i zręcznego człowieka. Poczujemy się nadzieją, że p. Koźmian musiał dobrze obliczyć swe siły, zanim się podjął tak ważnego przedsięwzięcia. Czekajmy, qui vivra verra.

Drezno we wrześniu 1872.

(Dowody żywotności narodu. — Nowości literackie: p. Starosta Kislacki *W. Pola*; *Album rapperswylskie*; *Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu*; *Litwa pod względem prześladowania w niej rz. kat. kościoła*; *Biografia ks. Stef. Domalewicza*; odczyt *Czesł. Pieniążka*; powieść *Ciechońskiego: Al-Hakim*. — *Ruch teatralny*. — *Nowe dzienniki*. — *Ostatni tom poezyj Syrokomli*.)

Nie zbywa nam na materiałach do kroniki, trwożym się raczej, czy z wielkiej ich liczby dobry i właściwy wybór uczynić potrafimy... Wnieszczęśliwym tym roku 1872 dajemy przynajmniej dowody żywotności, krzątając się i robiąc, na co nas stało; nie czuć w nas mimo groźb, które zewsząd nanowo przeciwko nam słyszeć się dają, i prześladowań odżywionych wspomnieniem całowiecznych a napróżnych usiłowań,

nie czuć ostygnięcia i rozpacz. W porównaniu do r. 1772 duchowo i moralnie urosliśmy. Powinnoby to dać do myślenia tym, co się uwzięli na zniszczenie nieśmiertelnego dzieła Bóżeo; ale trudno się zwrotu spodziewać i lepiej nie mieć nadziei jego, a iść dalej z męstwem przeciw nieprzyjacielowi. Stuletni bój wiele nauczył, wiele odjął złudzeń, wiele dróg wykazał.. a drugie sto lat, jeśli nam przeznaczono cierpieć; znajdą nas, spodziewamy się, lepiej uzbrojonymi... Tymczasem komu Bóg dał rolę, niech ją uprawia, komu papier, niech go zapelnia, komu posłannictwo najskromniejsze, niech je wykonywa... Z drobnych ziarenek góry rosną.

Zacznijmy od poetów. Ociemniały wieszcz zapowiada nam pieśń nową, W. Pol oddał do druku Żupańskiemu poemat myśliwski: Pan starosta Kislacki, który obok innych jego utworów niepoślednie zajmie miejsce. Treścią jego jedno z tych podań, które się u nas na wielkim cmentarzysku przeszłości obficie znajdują, dziwne, piękne a odmalowane temi barwy szczęśliwymi, staremi, które Pol nadawać umie; które są jego palecie właściwe, a nikt ich naśladować nie potrafi. Szczególnie wdzięczny a tęskny jest wstęp poematu. Chociaż pan Starosta Kislacki Wąsowicz jest bohaterem pieśni tytułowym, rzeczywistym jest ktoś, kogo się wcale nie domyślicie, a ja tymczasem nie powiem... Kilka ilustracji zdobić będą przygotowujące się wydanie. O poezjach El-yego, których dwa tomy wyszły w Krakowie, wiecie zapewne z kąd inąd, chociaż dzienniki zaprzęgnięte polityką i zmuszone wojować z Pasiecznymi, nie spełniają swego posłannictwa pośredników między ogółem czytającym a wydawcami, i zamało zwracają uwagi na literaturę. Wszystkie one, z bardzo małym wyjątkiem, zbywają nowo wychodzące książki bardzo pobieżnymi kilku słowami. Za czasów, gdy literatura u nas wchodziła w życie, stanowiła jedno z głównych tętn jego, nie tak bywało... Nawet literackie tygodniki, choć czują obowiązek krytyki, nie dosyć go szczęśliwie spełniają. Gdy potem narzeka wydawca, że książka nie rozchodzi się, odbytu nie ma, i publiczność łaje, winienby po trosze i prasę obwinąć, bo tylko przez nią ogół z nowościami obeznać się może i do czytania zachęcić. Tak na przykład o tych pięknych poezjach El-yego jeszcześmy nigdzie nie znaleźli nawet takiego artykułu, jaki niegdyś w pismach warszawskich zwiastował każdy utwór nowy Odyńca, Witwiciego, nie mówiąc już o Adamie... Pamiętamy te czasy, gdy po domach, jeśli kupić nie było można książki, przepisywały je panny i starzy... podawano je sobie pożyczane z rąk do rąk...

Zakazanego p. Tadeusza w kilka nocy widziałem całego skopiowanego ukradkiem... Dziś, dziś któżby jeszcze westchnął do poezji?? Francuzczyzna zwycięzko powróciła na stoliki nasze, przynajmniej w wielu miejscach, w innych niemiecka nawet literatura czytelników nam odkrada.

Smutne to, ale przeżyjemy i tę biedę...

Rok ten w roczniki i albumy bogaty. Wyszło Rapperswylskie hr. Platara, na które, chociażśmy je do chrztu trzymali, mamy prawo zwrócić uwagę. Jest tam wiele pięknych rzeczy, nie mówiąc już o bardzo pięknym wydaniu ich. Artykuł dr. Libelta, poezje (Szkółka wiejska) pi. D..., Ernesta Buławy, p. Bron. Zawadzkiego i Feliksa Wicherskiego, histo-

ryczny dokument, niezmiernej pracy owoc Agatona Gillera, spis wygnańców Syberyjskich; x Polkowskiego rys nieodwołanych strat naszych, wszystko to razem składa się na zbiór zajmujący. Drugie takie album pamiątkowe zapowiada redakcja Tygodnika Wielkopolskiego. Oba roczniki te przechodzi objętością i bogactwem treści, Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. Ogromna to księga, dla historii naszej obfite i nowe przynosi materiały... Pierwsze w niej miejsce zajmuje Bronisława Zaleskiego wyciąg z kilkudziesięciu foliantów korespondencji Stanisława Augusta. Już on sam stanowi osobne dzieło; a jak wybornie maluje się tu król ów, o którym jeden ze współczesnych powiedział, że cały dzień zdając się niezmiernie zajęty, umiał mimo to nic nie robić. Robili za niego wszyscy po trosze, co go otaczali. Wypisy z korespondencji dla chcących poznać bliżej epokę tak smutną, a tak historycznie ważną, są nieoszacowanym darem.

Prześliczny list Ign. Domejki (z Chili) o Filoretach i Filometach przenosi nas w błogie czasy uniwersytetu Wileńskiego. Z równem zajęciem czytają się wspomnienia starego żołnierza, pułkownika Kamieńskiego (1831 r.), korespondencya Lelewela z Sieńkiewiczem, protokoły posiedzeń rady administracyjnej z r. 1830, nekrolog Różyckiego przez Rettla i cały pomieszczony tu dramat p. Ludwika Orpizewskiego: Zebrzydowscy. Autorowi nie zbywa na talencie dramatycznym, i w czytaniu rzecz się rozwija w sposób dla czytelnika zajmujący; nie wiem, jakby to poszło na scenie, a ostatecznie, dramat musi ją szczególniej mieć na względzie.

Nekrologia rocznika od r 1870 — 1872, chociaż tylko główniejsze zawiera imiona zmarłych na tułactwie braci naszych, ileż dotkliwych strat przypomina: Chodźko Leonard, Barzykowski Stanisław, Grzymałowie, Lewicki, Różyccy, Szlenker, Wrotnowski, Zieńkiewicz, zasłużonymi byli sprawie narodowej... Każdy z nich spodziewał się, wzdychał do godziny powrotu, nikt jej nie doczekał.

Obok tego rocznika idzie biblioteki polskiej w Paryżu wydanie nadzwyczaj ciekawego pamiętnika: „Litwa pod względem prześladowania w niej rzymsko-katolickiego kościoła, szczególnie w dycyzy Wileńskiej od roku 1863 do 1872. (Poznań str. 107). Z wielkiem umiarkowaniem skreślone to sprawozdanie, oparte na faktach, winno by także choć w treści ukazać się w naszych pismach periodycznych; jest to historia współczesna tego nieszczęśliwego kraju, którą galicyjscy Rusini pomagają tak gorliwie na syzmę nawracać.

Do poważniejszych nowości należy, także w Poznaniu wydana biografia, na nieznanych źródłach oparta, ks. Stefana Domalewicza, przełożonego kanoników laterańskich w Kaliszu, Dzieła jego znane są bibliografom naszym; życie, w którym wiele przecierpiał, odsłania nam dopiero autor, pan Adam Chodyński, opierając się na rękopismach i aktach z archiwów klasztornych dobytých. Tenże jest autorem zbiorku poezji współcześnie wydanych w Dreźnie, o których nie znaleźliśmy nigdzie wspomnienia. Z Dreźnie także pochodzi u was we Lwowie wydana książeczka odczytów, mianych tu przez pana Czesława Pieniążka, o autorkach polskich, a szczególnie o p. Sewerynie Duchieńskiej. (Opis jubileuszu tej pełnej talentu poetki

naszej, wydano świeżo w Zurichu). Odczyty p. Cesała Pieniązka, na które dosyć liczna jak na Drezno uczęszczała publiczność, znajdują zapewne równie chętnych i mnogich czytelników.

Z Warszawy doszła nas poetyczna powieść p. J. Cichońskiego: *Al-Hakim*, która zapowiada talent młodzieńczy jeszcze, żywy i wróżący rozwinięcie się świetne... Idzie tylko o to, aby się rozwijał; ileż ich w pączkach zamiera! Powiedzieć temu, co go czuje w sobie, że powinien karmić ten dar Boży pracą, wyda się nie jednemu prawie obraźliwym, a jednak bez tej żywności najoryginalniejszy nawet usycha... Są to prawdy stare i nudne, a mimo to warte, by je przypomniano.

Teatra nasze objawiają ciągle dosyć życia; poznański tworzy się stały pod dyrekcją p. Sarneckiego, krakowski powraca, lwowski świetnie rozwija, warszawski nawet, o ile może, podnosi. Ostatni to jednak rok miała Warszawa małe teatryki ogródkowe dozwoleńmi, prowincjonalnym trupom następnie zakazane być mają przedstawienia z powodów, które choćby się dały odgadnąć, lepiej ich się nie domyślać. Żaden zakaz tam nie dziwo, zdumiałoby chyba pozwolenie jakie. Na to się nie zanosi, kasowanie jest na porządku dziennym, odbywa się ono z prawdziwie godnym podziwu talentem i cynizmem. Zarówno w Kongresówce jak pod panowaniem pruskiem, obalać zdaje się być zadaniem mężów stanu, tu i tam nie pytają się, co stanie w miejscu ruin, byle tych przymnożyć. Cywilizacja niemiecka ma przynajmniej jakiś pozór do prześladowania, mieniając się wyższą (acz jest nią tylko w pewnych względach), o cywilizacji zaś rosyjskiej jeszcze świat dotąd nie wie. Kataków zapowiedział, że należy zniżyć stopień ogólny oświaty w Polsce, i dać czas Rosyi, aby ją doścignęła; spełnia się to, mimo całej ohydy tego axiomu. Na nas wszystkie oręże dobre, nawet takie, które są grzechem de lése-humanité.

Z pism nowych peryodycznych w Krakowie, zapalających się *Pochodnia* i *Dziennik Mód*, i w Zurichu zapowiedziane pismo młodzieży uczącej się, są jedynemi, o których w tych czasach zasłyszeliśmy. Żadne stare, dzięki Bogu, nie upadło; to lepiej, niżby zbyt wiele nowych na chwilę powstać miało. Niefortunne próby lat kilku nauczyły przecie warunków, bez których żadne pismo być i rozwijać się nie może. Więcej przyrostu czytelników niż pism pragnęlibyśmy, w Galicyi

szczególniej. Z wydanego ostatniego tomu poezyj Syrokomli (w Warszawie) na korzyść rodziny poety przekonywamy się wszakże, iż Galicyą jeszcze w obojętności przechodzi czasem Poznańskie. Tu liczba abonentów nie zrównała nawet galicyjskim, ale w znacznej części przypisać to należy wydaniu p. Jagielskiego, które za bezcen dawano, aby się pozbyć makulatury w niegodziwy sposób zadrukowanej cudzą własnością. Ostatnie tomy nie wydanych pism Mickiewicza jeszcze się mniej szczęśliwie rozeszły, a przecież na tych to kartkach skromnych dzisiaj jedyne i całe życie nasze!

Ponieważ wspomnieliśmy o poezjach Syrokomli, niech nam wolno będzie ku pożytkowi galicyjskich rytowników, rzeźbiących obywatelskie pomniki grobowe, przytoczyć jeden nagrobek przez Syrokomlę położony ku wiecznej pamięci człowieka, w jakich, zdaje mi się, i *Felix Russia* obfituje.

D. O. M.

Bił chłopów pałką,
Poił gorzałką,
Miał sto chat z górą,
Jadł barszczyk z rurą,
Popijał piwo,
Zbierał grosiwo,
Czasem od święta
Ciął się w karciecia.
Miał arędarza,
Z którym rozważa:
Czy będą wojny?
Czy czas spokojny?
Zjadł na śniadanie
Udo baranie
I witych w cieście
Kołdunów dwieście.
Tak z niestranności
Doszedł wieczności
I w ciemnym grobie
Spoczywa sobie.
Nim wieki zbiegą,
Tnie Chrapickiego,
Aż głos anioła:
„Wstawaj! — zawoła —
„Bo już gotowa...
„Pieczeń wołowa!“

J. I. KRASZEWSKI.

ZE ŚWIATA.

(Lord Byron w gościnie.) Przyjaciele obudwu sławnych poetów angielskich, lorda Byrona i Moore'a, pragnęli koniecznie zapoznać z sobą tych dwóch sławnych mężów, i w tym celu zaprosił M. Rogers pewnego dnia obudwu na obiad, zapewniwszy sobie nadto towarzystwo Campbella, który tego dnia przypadkiem go odwiedził.

Rogers, znając dziwaczną naturę Byrona, postanowił przyjąć go najprzód samego w salonie; gdy więc oznajmiono jego przybycie, usunęli się Campbell i obecny już Moore do przyległego pokoju, i powrócili dopiero wtedy, gdy się skończyły pierwsze przedstawienia i powitania między gościem i gospodarzem. Roger zapoznał potem panów ze sobą i udano się do stołu.

— „Czy mogę służyć zupą?“ — spytał Roger swoich gości. Lord Byron podziękował, gdyż nie jada nigdy zupy.

— „Może pozwolicie państwo rybę?“ — spytał dalej. — Autor *Childe Harolda* nie tknął się nigdy ryby.

— „To może pieczeń barania?“ — Baraniny nie jada on wcale.

— „Więc może pan pozwoli kieliszek wina?“ — „Nie pijam nigdy wina.“ — odrzekł niewzruszony Byron.

Teraz nie pozostało już zakłopotanemu gospodarzowi nic innego, jak tylko zapytać się zbyt wybrednego gościa, co właściwie jada i pija, na co otrzymał odpowiedź: „Nie prócz wody sodowej i twardych biszkoktów.“

Na nieszczęście nie było ani biszkoktów ani wody sodowej pod ręką, i cały obiad Lorda Byrona skończył się ostate-

cznie na kartoflach, które na talerzu pogniół i octem zaprawił. Mimo to wszakże nie stracił poeta wcale humoru, przez cały czas rozmawiał bardzo żywo, szczególnie o Walter Szkocie i Joannie Ballie, i goście rozeszli się dość późno.

Później dowiedział się Roger, że Byron udał się prosto od niego do klubu w St. James i zjadł tam porządną wieczerzę; a ci, którzy znali bliżej poetę, uspokoili urażonego mniemana wzgardą Rogera tem, że nie powinien nigdy zważać na podobne dziwactwa poety i postępować z nim tak, jak gdyby wcale ich nie dostrzegał. Roger posłuchał tej rady i odtąd nie narzekał już nigdy na brak apetytu Byrona, gdy go zaprosił do swojego stołu.

(Uczone ptaki.) Pod względem zdolności umysłowych nie ustępują ptaki wcale zwierzętom ssącym, a niektóre z nich przewyższają nawet rozumem. Na dowód przytaczamy tu następujące przykłady, wyjęte z książki drukowanej przed dwiestu laty, a tem samem mało komu dziś znane. Jezuita Drexel opowiada, że rodzice jego mieli kosa, który nie tylko śpiewał zimą i latem, ale także w nocy, i z łatwością wyuczał się rozmaitych aryj. Gdy Drexel grał na klawikordzie, siadał ptak na instrumencie, słuchał uważnie, a potem śpiewał za muzyką. Po takim kilkakrotnem ćwiczeniu przyswajał sobie całą aryę, i świstał ją potem sam. Przy obiedzie siadał zwykle na ramieniu gospodarza i przyspiewywał mu swoje piosnki. Jadał wszystko i latał swobodnie, a w lecie kąpał się często i wygrzewał na słońcu.

Większą jeszcze uczonnością odznaczała się sroka pewnego właściciela łaźni, gdyż odmawiała po łacinie cały skład apostołski i litaniją do wszystkich świętych. Ale gdy pewnego razu powstała nagle jakaś wrzawa w sąsiedztwie, przestraszyła się tem tak mocno, że natychmiast straciła pamięć i zapomniała wszystko, czego się nauczyła.

Pewien kardynał kupił za dwieście talarów papugę, która recytowała wyraźnie i bez pomyłki wszystkie dwanaście artykułów wiary.

Niejaki hrabia Flasco miał papugę, która ukradła raz w kuchni kawałek mięsa, za co rozgniewana kucharka oblała ją gorącą wodą. Od wrzątku ucierpiała najbardziej jej głowa, tak że zupełnie wyłysiała. W kilka dni potem odwiedził hrabiego pleban miejscowy. Jak tylko papuga spostrzegła tonzurę na jego głowie, przyleciała natychmiast i zawołała szydyczko: Cha, cha, cha! Czy ty także ukradłeś pieczeń?

Jeszcze dziwniejsze rzeczy opowiada nasze źródło o innej papudze, własności pewnego opata we Francji. Uczony ten ptak odmawiał co rana Ojczenasz po łacinie razem z „Gloria patri“ i t. d. Gdy młodszy zakonnik zmylili co w spiewie, schylała głowę ku ziemi, przyciskała dziób do piersi i wołała: O mea culpa, mea culpa! (O moja wina, moja wina!) A gdy znowu dobrze śpiewali, mówiła: „Deo gratias!“ (Bogu dzięki!). Pewnego dnia przybył obey prałat do klasztoru, i dowiedziawszy się o zmyślności tej papugi, żądał, by odmówiła przy nim Ojczenasz. Papuga nie uznając powagi obcego, odmówiła posłuszeństwa. Prałat użył tedy innego sposobu: zaczął sam odmawiać Ojczenasz, spodziewając się, że papuga będzie mówić

za nim; ale ptak milczał ciągle. Rozgniewany tem prałat zawołał w końcu: „Módlże się, szelmo!“ — „Qui es!“ (Tyś sam taki!) — wrzasnęła papuga i uciekła. Jakaś dumna, wystrojona dama w kościele nie pddobała jej się tak dalece, że usiadła jej na głowie, zwałała się i odlatując zawołała: „Pulvis et umbra sumus! (Prochem i popiołem jesteśmy!)“

Cesarz niemiecki, Rudolf, miał ptaka podobnego do kaczki, z wielkim dzióbem, który był istnym błaznem i psotnikiem. Nazywano go: „Śmiesznym Hanslem“, a miał on kosztować 20,000 złotych.

(Piękne za nadobne.) Alexander Dumas, ojciec, otrzymał pewnego dnia z prowincyi jakiś pierwotny utwór dramatyczny ze skromną prośbą, żeby go przeczytał, poprawił i z dodaniem imienia swego do nazwiska autora dał do przedstawienia na jednym z teatrów paryskich. Sławnego poetę oburzyło naturalnie to zuchwale żądanie; rzucił więc rękopis w kąć i uważał rzecz za skończoną. Po kilku jednak miesiącach otrzymuje nowy list od autora dramatu z podziękowaniem, że życzenie jego zostało spełnione, i z prośbą o łaskawe doniesienie, jak też wypadło obrobienie jego dramatu. Taka bezczelność przechodziła już w oczach Dumasa wszelką granicę. Odesłał więc natychmiast rękopis, dając przytem naiwnemu petentowi lakoniczną odprawę: że nie przystało koniowi ciągnąć wóz razem z osłem. Ale jakżeż musiał się zdziwić i oburzyć autor hrabiego „Monte-Christo“, gdy złośliwy dramaturg po kilku dniach przysłał mu skromne zapytanie: „Panie Dumas, z jakiego to powodu raczyłeś pan nazwać mnie koniem?”

(Tragikomedyja w sześciu słowach.) Armand Gouzien ogłasza w „Courier de France“ zabawny utwór dramatyczny, składający się tylko z jednego aktu o jednej scenie i sześciu słowach. Scena przedstawia wewnątrz domu mieszczańskiego. Przy podnoszeniu kurtyny przegrywa orkiestra kilka wymuszonych zwrotek, a potem przechodzi w ponure tremolo. Przy budce suflerskiej siedzą młoda kobieta i młody mężczyzna, trzymając się za ręce i patrząc na siebie wzrokiem miłosnym; oboje nie mówią nic, ale ich oczy mówią bardzo wiele. W głębi otwierają się drzwi i wchodzi jakiś mężczyzna z torbą podróżną. Cała jego figura i postawa przypomina typ małżonka, tak jak go sobie kochankowie wyobrażać zwykli. Ten wszedłszy przypatruje się przez chwilę owej parze, otwiera jakąś broszurę, którą czyta spiesźnie aż do końca, i w której znajdują się słowa: „Zabij ich!“ Nie mówiąc potem ani słowa, otwiera torbę i nabija swój rewolwer; następnie zbliża się na palcach, tremolo orkiestry staje się coraz mocniejszym, i nagle padają dwa strzały. Kobieta przewraca się na prawo, mężczyzna na lewo, i to oboje na twarz. Ów jegomość zaś chowa pistolet i broszurę do torby i zwraca się z największą spokojnością ku drzwiom; ale wnet obraca się znowu i uderza ręką w czoło. Zapewne chce przed odejściem nasycić się jeszcze widokiem swoich ofiar, zbliża się do nich i obraca je twarzą do góry. Wtedy ustaje tremolo orkiestry, i ów mężczyzna przemawia owych sześć słów dramatu: „Diable! je me suis trompé d'etage!“ (Do diabła, zablądziłem na inne piętro!)

Kącik humorystyczny „Strzechy.”

Z polityki lekarza okulisty.

Lekarz. Wzrok bardzo osłabiony... Oto lekarstwo; ale zapowiadam panu, że nic ono oczom nie pomoże, jeśli ich szanować nie będziesz.

Pacjent. Szanować? Panie doktorze, nie szanowałem, kiedy były zdrowe, mamże szanować popsute?

Lekarz. Nie pojmuję, co właściwie sprowadza pana do okulisty — masz najzdrowszy wzrok...

Pacjent. Ależ mój doktorze! przecież ludzie o najlepszych oczach noszą szkła, właśnie więc proszę o numer takich szkieł...

Pacjentka Doktorze! ulituj się moich oczu!

Lekarz. Trudno to łaskawa pani, jeśli te oczy są bez litości wogóle...



„Skórka na buty.”

Typ nieodłączny od bruków wielkomijskich; dzieje swe zapisał też głęboko w brukach Warszawy, Paryża, Berlina, Wiednia... Z urodzenia rewolucjonista, zawód swój publiczny zaczyna od kocięj muzyki a kończy na barykadzie. — W życiu

towarzyskiem zbyt nieumyty, z tem wszystkim jednak serce złote, a na ustach jak w sercu: cały świat nie będący szewcem uważa za „skórkę na buty.” Widać więc, że w teorii jest filozofem.